

bezwierszówki

SDP

Stowarzyszenie
Dziennikarzy
Polskich
Oddział
w Olsztynie

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

nr 9 (111) wrzesień 2014

ISSN 1732-7327

Dublet



y
a
u

DP



50 LAT

III Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w Olsztynie

Już 19 - 20 września 2014 roku
III LO w Olsztynie obchodzić będzie
ZŁOTY JUBILEUSZ!!!

Absolwenci, którzy chcą wziąć udział w Jubileuszu mogą rejestrować się poprzez formularz on-line na stronie szkoły www.lo3.olsztyn.pl w zakładce „50 - lecie szkoły”

Czas omija miejsca, które wspominamy

ZAPRASZAMY SERDECZNIE
Komitet Organizacyjny III LO
oraz Stowarzyszenie Absolwentów
i Przyjaciół III LO w Olsztynie

KONTAKT:

tel./fax. 89 526 44 22

e-mail: lo3@lo3.olsztyn.pl



<https://pl-pl.facebook.com/lo3Olsztyn>

Szkoła charakterów

III Liceum Ogólnokształcące w Olsztynie to szkoła niezwykła. Przekonuję się o tym codziennie od 10 lat. Myślę, że to szczególna zasługa pracujących tu nauczycieli i dyrektorów. Odpowiednich ludzi w odpowiednim miejscu. Absolwenci dodaliby pewnie jeszcze, że w odpowiednim czasie.

Tak, czas odgrywa w naszym życiu niebagatelną rolę. Ten, kiedy młody człowiek chodzi do liceum, dorasta, dokonuje pierwszych, ważnych, życiowych wyborów, kiedy poznaje różne hierarchie wartości i ustala własne, kiedy przeżywa silne porywy serca i uczy się czym jest miłość – jest czasem najważniejszym dla całego życia. Ogromnie istotne jest również, aby spotkać wtedy mądrych i życzliwych nauczycieli, którzy nie tylko nauczą, ale pokażą i podpowiedzą jak żyć. Będą też mieli świadomość, z jak delikatną materią przychodzi im pracować, jak mocno mogą na losach uczniów zaważyć wypowiadane przez nich słowa.

Jestem pewna, że absolwenci „Trójki” takich właśnie nauczycieli mieli szczęście spotkać w swoim Liceum. Nawet ci, którzy kończyli szkołę jako pierwsi, utrzymują serdeczne kontakty z wychowawcami, organizują spotkania roczników, uczestniczą w jubileuszach szkoły. Zawiązali też Stowarzyszenie Absolwentów i Przyjaciół III LO. O ich działalności i bogatej historii szkoły można będzie przeczytać w książce *50 lat III LO w Olsztynie*. Swym życiem i dorobkiem wystawiają dobre świadectwo nauczycielom. Pamiętają, o tych, którzy odeszli, odwiedzają ich groby, interesują się losem żyjących.

Szacunek i uznanie dla nauczycieli wpływa także z sukcesów, które pomogli swoim uczniom osiągnąć. Do tej pory szkoła przygotowała 98 laureatów i finalistów olimpiad, a ponad 130 uczniów było laureatami konkursów przedmiotowych i artystycznych. Piękną kartę zapisał również sportowcy.

„Trójka” wypracowała własne tradycje. Nawiązała i prowadzi międzynarodowe wymiany z Francją, Niemcami i Litwą. Organizuje Koncert Charytatywny „Wspieramy stypendium im. M. Antonowicza”. Ma status „Placówki



Przyjaznej Kompatantom”, w szkole działa Klub Historyczny im. Armii Krajowej i Klub Wnuka Sybiraka. Łączy tradycję z nowoczesnością: ma własną sieć wi-fi, klasy wyposażone są w rzutniki i tablice multimedialne. Jako pierwsza przeszła wyłącznie na dziennik elektroniczny.

Uczestniczy w międzynarodowych projektach badawczych, współpracuje z AIESEC, przygotowuje do certyfikatu z języka niemieckiego DSD II. Ma wysokie wyniki maturalne.

III LO wyraźnie zaznaczyło swoją obecność w historii Olsztyna, dlatego będziemy hucznie obchodzić Złoty Jubileusz. Do tej pory szkołę ukończyło prawie osiem tysięcy ludzi. Są wśród nich przedstawiciele wielu profesji, ale najwięcej jest lekarzy, pracowników naukowych różnych uczelni, prawników, ekonomistów, biznesmenów, sportowców i ludzi sztuki. O dorobku artystów i literatów świadczyć może wystawa zorganizowana w Galerii Amfilada MOK, która zostanie otwarta 18 września. Z kolei 19 września w Filharmonii odbędzie się Gala inauguracyjna obchody 50-lecia szkoły, podczas której wystąpi około 20 absolwentów-artystów zawodowo związanych z muzyką.

Na 20 września zaplanowane są kolejne uroczystości. O godzinie 9⁰⁰ w kościele św. Józefa zostanie odprawiona Msza św. z poświęceniem nowego sztandaru szkoły, a o 11⁰⁰ spotkamy się w Uranii, aby wspólnie celebrować Jubileusz. Potem nastąpi część, na którą wszyscy najbardziej czekają – spotkania z wychowawcami i nauczycielami w szkole. Zwieńczeniem uroczystości będzie Bal Absolwentów, Pedagogów i Pracowników III LO.

Serdecznie dziękuję wszystkim, którzy włączyli się w organizację Jubileuszu 50-lecia szkoły i zapraszam do wspólnego świętowania.

DANUTA GOMOLIŃSKA

Od naczelnego

Bóg, Honor, Ojczyzna

Wrześnię. Polski Wrzesień! To dla Polaków czas smutnych rocznic... Począwszy od 1 września, przez 17... agresja Niemiec i Związku Sowieckiego na nasz kraj.

Pomimo tragedii i bólu, jakie przyniósł nam tamten wrzesień sprzed 75 lat, mamy powód do dumy, że nasi Ojcowie potrafili stanąć w obronie swojej ojcowizny. Obrona Westerplatte, Poczty Polskiej w Gdańsku, Gdyni, Kępy Oksywskiej, Lwowa, Warszawy, Wizny („polskie Termopile”), Twierdzy Modlin, Helu (aż do 2 października!), bitwa pod Mławą, Kockiem... to tylko niektóre z miejsc wrzesniowej wojny obronnej 1939 roku.

Nie ma chyba rodziny, która w tamten wojenny czas nie straciła kogoś bliskiego. Moi wujkowie walczyli w wojnie obronnej '39, m. in. w największej bitwie Września – nad Bzurą. Później trafili do niewoli, obozów jenieckich w Nadrenii Północnej – Westfalii i Dolnej Saksonii oraz do niemieckiego obozu koncentracyjnego Stutthof. Mieli jednak szczęście... przeżyli. Ale ilu nie przeżyło... Liczby strat wojennych dobitnie o tym świadczą.

Czas wojny – obok swego nieludzkiego oblicza – wywołał niesamowite pokłady bohaterstwa. Na łamach „Bez Wierszówki” wspominaliśmy o niezwykłych czynach naszych rodaków na różnych frontach II wojny światowej, jak choćby w bitwie o Monte Cassino. W tych miesiącach wspominamy bohaterskie 63 dni Powstania Warszawskiego... Dziś żyjące pokolenia Polaków mogą być dumne ze swoich Matek i Ojców!

Polacy zdobywali się na heroizm idąc pod sztandarami na których widniały słowa: „Bóg, Honor, Ojczyzna”. Te trzy słowa przyświecały naszym Ojcom w walce o wolną Polskę. Czy dla obecnych pokoleń mają one tę samą wartość? Czym są honor i Ojczyzna w dzisiejszym świecie taśm i podsłuchów? Oby nie historycznym sloganem...

IRENEUSZ ST. BRUSKI



W numerze: Szkoła charakterów (D. Gomolińska) • Bóg, Honor, Ojczyzna (I. St. Bruski) – 3 • Aktualności – 4-5 • Nowy rodzaj dziennikarstwa w Internecie? (A. J. Socha) – 8 • Temida contra dziennikarze – 9 • Co jest przetwarzaniem informacji? (A. Maciejewski) – 10 • Twarze mediów... Zbigniew Połoniewicz (A. Zb. Brzozowski) – 11 • Wywiady Błażeja Torzańskiego... – 12 • Świat na opak (M. Palczewski) – 13 • Marzenia o jedności (J. Roślan) – 14 • Zupełnie „bez” (S. Truszczyński) – 15 • Trakt Biskupi w Bałdach (C. Migliore) – 16 • Zapomniana rocznica zbrodni (T. Isakowicz-Zaleski) – 18 • Dzieje Armii Krajowej (P. Kardela) – 20 • Po co nam niepodległość (J. Chmielowska) – 22 • Prasa polskojęzyczna na emigracji (J. Chojiński) – 23 • Tablica (nie)pamięci? (I. St. Bruski) – 24 • Multicultural (J. Paszkiewicz-Jägers) – 26 • Ostródzkie media (Z. Połoniewicz) – 27 • Kawiarnia „Rzym” na placu Lenina (J. Wańkowska-Sobiesiak) – 28 • Rok zerowy (A. Wołos) – 30 • Okiem satyryka – 30 • Tykocin po raz drugi! – 31 • Przegrywanie bez walki (J. Wegner) – 32 • Erudycyjna historia prasy światowej (M. Sokołowski) – 33 • Policjanci piszą, gazety drukują (J. Roślan) – 34 • Wspomnienia – 35 • Z miłości (M. Górka) – 36 • Z życia Oddziału – 38 • Wydarzenie miesiąca – 40

Na okładce: Fragment warszawskiego Pomnika Poległym i Pomordowanym na Wschodzie autorstwa Maksymiliana Biskupskiego. FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI



Łuk Triumfalny Bitwy Warszawskiej

Za sześć lat przypada setna rocznica Bitwy Warszawskiej, jednej z najważniejszych bitew naszej historii, jednej z tych, które zdecydowały o losach ludzkości.

W sierpniu 1920 roku tu na polach pod Warszawą, ale również nad Wieprzem i Niemnem, rozbiliśmy bolszewicki marsz na podbój świata. Geniusz Józefa Piłsudskiego, talenty jego generałów i bezprzykładne męstwo żołnierzy, a wśród nich uczniów i studentów, rzemieślników i robotników, ziemian i chłopów, szyfrantów i wywiadowców dokonały prawdziwego cudu. Byliśmy sami, Ambasadorowie (z wyjątkiem Nunejusza) uciekli z Warszawy, światowi przywódcy planowali układy z komunistyczną Rosją, sprzyjali jej „użyteczni idioci” w mediach i zachodni proletariaty, blokując dostawy broni. Ale zwyciężyliśmy

– zapobiegliśmy wzięciu Europy z marszu, daliśmy jej 20 lat bezpiecznego istnienia, a sobie samym szansę, po 123 latach zaborów, przetrwania jako naród.

Wdzięczność i pamięć wymaga od nas aby w setną rocznicę przypomnieć o tym Polsce i światu. My dzieci, wnuki i prawnuki tamtych żołnierzy. Ponad doraźnymi podziałami, domowymi waśniami i burzliwymi zaszłościami... zbudujmy pomnik. Łuk Triumfalny u wschodnich wrót Warszawy! Na miarę dawnego zwycięstwa i pokuty za lata hańby niepamięci. Na miarę naszej narodowej dumy i aspiracji. Niech będzie symbolem prawdziwego odradzenia się narodu i przebudzenia drzemiącego pośród nas Króla Ducha!

Musimy uwierzyć, że mimo uprawianej przeciw nam psychologii wstydu i przemysłu

Jerzy Kossak, Cud nad Wisłą REPR. POLIMATY.PL

pogardy jesteśmy narodem wielkim, ze wspólnymi perspektywami i gigantycznym, choć ciągle trwonionym kapitałem ludzkim. Polacy jeśli uwierzą, że mogą i potrafią, zbudują nie tylko łuk narodowej chwały, ale również silne państwo, które będzie chronić, promować i przyciągać talenty, a nie skazywać je na emigrację; państwo, gdzie każdy we własnym domu będzie mógł realizować swoje marzenia i budować pomyślną przyszłość.

Dumni wśród Dumnych, wolni wśród Wolnych. W najczarniejszą noc zaborów Henryk Sienkiewicz pisał ku pokrzepieniu serc, a Polacy wznosili pomniki wieszczom i bohaterom. Podobnie, dziś między wędną Europą a agresywną Azją, w zapaści demograficznej i emigracyjnym krwotoku potrzeba nam, znaku, czynu, światła, że polskość to arcy-normalność!

Rok 1920 to data symbol – rok zwycięstwa i zasiewu. Kiedy na Wschodzie grzmiały działa urodził się największy z Polaków Karol Wojtyła, Jan Paweł II papież, który odmienił oblicze ziemi. Nie tylko tej Ziemi! W naszym czynie jest miejsce dla wszystkich Polaków, chcielibyśmy jednak by jej symboliczną kapitułę stanowili, między innymi, potomkowie bohaterów tamtych dni. Są nas zapewne miliony. Dlatego bierzmy się do dzieła! Razem, jak wówczas, gdy stworzyliśmy „Solidarność”. My Naród!

TOWARZYSTWO PATRIOTYCZNE

Pełna lista sygnatariuszy Apelu na stronie internetowej Towarzystwa Patriotycznego – Fundacji Jana Pietrzaka: towarzystwopatriotyczne.org

KOMUNIKATY

ZBIÓRKA PUBLICZNA DZIENNIKARZY UKRAIŃSKICH NA RZECZ

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich

Sprawozdanie ze zbiórki publicznej

prowadzonej na mocy decyzji Ministra Administracji Publicznej i Cyfryzacji nr 65/2014 z dnia 3 lutego 2014 r., uzupełnionej decyzją nr 94/2014 z dnia 18 lutego 2014 r. oraz decyzją nr 243/2014 z dnia 15 kwietnia 2014 r. prowadzonej przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich.

- Przychody z tytułu prowadzenia zbiórki publicznej: 24.309,16 zł, w tym: dowolne wpłaty na wydzielone konto bankowe (13.941,01 zł), wpłaty do puszek kwestarskich (10.368,02 zł), odsetki bankowe (0,13 zł).
- Rozchody z konta zbiórki: 24.299,16 zł. Zebrane środki przekazano w trzech transzach: 3219 USD, 2800 EUR, 700 USD łącznie na kwotę: 3919 USD i 2800 EUR.

Wszystkie środki w łącznej kwocie 3918,26 USD i 2800,43 EUR wydatkowane na pomoc dla ukraińskich dziennikarzy w tym: na zakup i naprawę sprzętu dziennikarskiego (2915,18 USD i 1605,30 EUR), na jednorazowe zapomogi dla poszkodowanych dziennikarzy pozbawionych środków do życia (518,70 USD i 303,73 EUR), na leczenie poszkodowanych dziennikarzy (484,38 USD i 188,68 EUR), na pomoc prawną (702,72 EUR).

3. Koszty poniesione przy organizacji zbiórki publicznej: 10 zł wydatkowane na opłaty bankowe.

Sprawozdanie zostało opublikowane na stronie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w dniu 30 lipca br.

SDP

Zbiórka publiczna na sfinansowanie pomocy prawnej

Informujemy, że zgodnie z decyzją Ministerstwa Administracji i Cyfryzacji nr 59/2014 z dnia 31 stycznia 2014 r. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich prowadzi zbiórkę publiczną pieniędzy przeznaczoną na sfinansowanie pomocy prawnej (doradztwa prawnego oraz reprezentacji sądowej) dla Cezarego Gmyza, Pawła Lisickiego oraz Tomasza Wróblewskiego.

Dziennikarze ci – pozwani lub oskarżeni w postępowaniach sądowych dotyczących okresu ich pracy w wydawnictwach „Rzeczpospolita” i „Uważam Rze” – zostali pozbawieni opieki prawnej przez wydawcę. Z uwagi na przedmiot tych spraw, złożonych pod względem faktycznym i prawnym, dziennikarzom należy się profesjonalne wsparcie prawne, czego odmówił im wydawca pism, w których pracowali.

Suma roszczeń wobec dziennikarzy z tytułu ujawnionych przez nich afer, nieprawidłowości sięga kilku milionów złotych. Gdyby z powodu braku pomocy prawnej przegrali procesy, oznaczać to będzie ich faktyczne bankructwo. Dziennikarze ci przez ćwierć wieku swojej działalności wielokrotnie dali dowody zawodowej rzetelności.

Zbiórka jest prowadzona na obszarze całej Polski w terminie od 1 marca do 31 grudnia 2014 r. na następujący rachunek bankowy, wydzielony do prowadzenia tylko tego projektu:

PKO BP SA IX Oddz. Centrum
00-950 Warszawa, ul. Nowogrodzka 35/41
90 1020 1097 0000 7102 0005 0120

Konkurs im. Seweryna Pieniężnego 2014

Warmińsko-Mazurski Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Olsztynie zaprasza Dziennikarzy do udziału w Konkursie im. Seweryna Pieniężnego.

Celem konkursu jest promowanie dziennikarstwa Warmii, Mazur i Powiśla, zachęcanie do dbałości o przestrzeganie zasad etyki zawodowej, wolność słowa, profesjonalizm oraz podnoszenie umiejętności warsztatowych.

W konkursie będą brane pod uwagę teksty prasowe, produkcje telewizyjne i radiowe oraz publikacje w mediach elektronicznych, opublikowane lub wyemitowane w roku 2014.

Nominacje do Nagrody im. Seweryna Pieniężnego mogą zgłaszać redakcje gazet, stacji radiowych, telewizyjnych, portali internetowych, sami dziennikarze oraz członkowie Kapituły Nagrody.

Zgłoszenie powinno zawierać dane autora (imię, nazwisko, adres) oraz tytuły utworów oraz daty i miejsca ich publikacji lub emisji. Materiały konkursowe w trzech egzemplarzach zapisane na płytach CD lub DVD w formatach: Word, txt, mp3, a w przypadku artykułów – wydruk komputerowy albo kserokopia zgłaszanego materiału.

Zgodnie z regulaminem Konkursu Kapituła może również dokonać wyboru antyłaureata, czyli napiętnować postawy niegodne, sprzeniewierające się etyce zawodowej, a tym samym godzące w dobre imię dziennikarzy. Antyłaury mogą być przyznawane także wydawcom oraz zespołom redakcyjnym.

Ostateczny termin nadesłania zgłoszenia wraz z wymaganymi załącznikami upływa 15 stycz-

nia 2015 roku. Natomiast 24 lutego, podczas obchodów uroczystości patrona Warmińsko-Mazurskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, nastąpi wręczenie nagród, ufundowanych przez Zarząd Główny SDP.

Szczegółowy regulamin Konkursu można znaleźć na stronie internetowej Stowarzyszenia: www.sdp.pl.

ISB

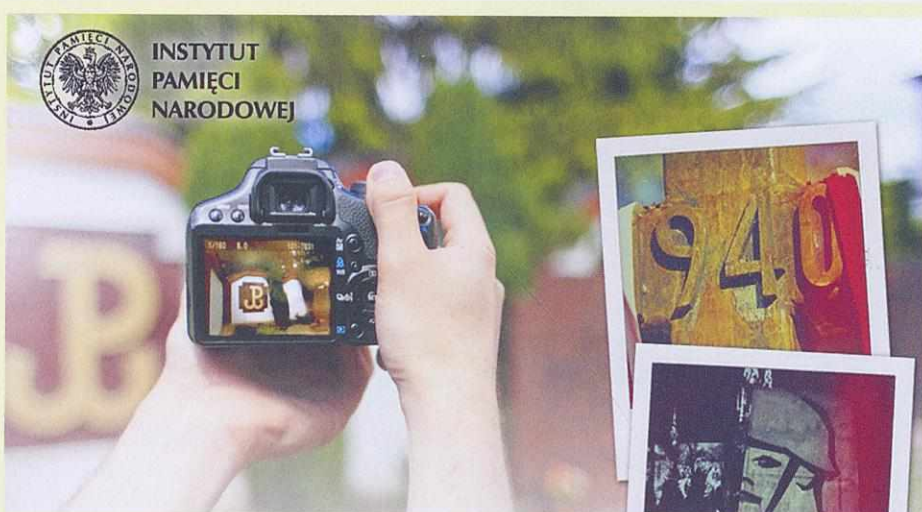
Zaproszenie

Spotkanie Klubu Publicystyki Kulturalnej

Pierwsze powakacyjne spotkanie Klubu Publicystyki Kulturalnej SDP – organizowane tradycyjnie w pierwszą środę miesiąca w Klubie „Cudzystów” Domu Dziennikarza, przy Foksal w Warszawie – odbędzie się 3 września, o godzinie 16. Tym razem wystąpi Jerzy Tuszewski z Warszawy – dziennikarz, dokumentalista, reżyser radiowy, teatralny i filmowy, poeta – z tematem „125. rocznica powstania Wieży Eiffel (Tour Eiffel)” – najbardziej znanego obiektu architektonicznego Paryża, która w momencie powstania była najwyższą wieżą na świecie. W programie będzie m. in. emisja audycji Jerzego Tuszewskiego „A Sekwana zielona”, prezentowanej na antenie 2 PR w 1996 roku.

Jerzy Grzegorz Tuszewski – dziennikarz, dokumentalista, reżyser radiowy i teatralny, realizator filmów dokumentalnych, teoretyk sztuki radiowej, poeta. Współzałożyciel pierwszego DKF „Po prostu”. Ukończył wydział reżyserii Państwowego Wyższej Szkoły Teatralnej oraz Studium Teorii Filmu Państwowego Instytutu Sztuki w Warszawie. W roku 1955 roku rozpoczął pracę w Polskim Radiu, a od roku 1976 – współpracę z rozgłośniami zagranicznymi. W Programie 2 Polskiego Radia prowadził Studio Form Dokumentalnych. Zrealizował ponad 1000 słuchowisk radiowych oraz innych form dokumentalnych, a także kilka dokumentalnych filmów, m. in. „Casus: Otto Schimek” (1993), „Janusz Piekałkiewicz” (1997), „Krakowianin z Paryża” (2007). Za radiową twórczość dokumentalną i artystyczną otrzymał Złoty Mikrofon (1993), zaś jego film „Krakowianin z Paryża” – na Polonijnym Festiwalu Multimedialnym „Polskie ojczyzny” w Częstochowie – został uhonorowany II nagrodą w kategorii filmów dokumentalnych (2009).

TERESA KACZOROWSKA



Już po raz drugi Instytut Pamięci Narodowej organizuje konkurs „Pamięć w obiektywie”...

Zasady udziału są proste:

1. Zrób zdjęcie miejsca pamięci związanego z walką o niepodległość Polski do 1989 roku.
2. Zaloguj/zarejestruj się na portalu facebook.com, wejdź do naszej aplikacji konkursowej (https://www.facebook.com/eduipn/app_1401325796750853) i dodaj zdjęcie.
3. Dodaj tytuł oraz krótki opis zdjęcia (max. 2000 znaków), zawierający informacje, co zdjęcie przedstawia, jakiego wydarzenia dotyczy, kogo lub co upamiętnia oraz kiedy i gdzie zostało wykonane.
4. Zachęć znajomych do głosowania na Twoje zdjęcie.

Fotografie (w formacie .jpg) można zgłaszać do 15 października 2014 roku wyłącznie za pośrednictwem naszej aplikacji konkursowej, która jest całkowicie bezpieczna. Ogłoszenie wyników nastąpi najpóźniej 17 listopada 2014 roku.

Nagrody otrzymają autorzy prac wyróżnionych przez Komisję Konkursową oraz przez społeczność facebookową.

Aplikację konkursową oraz więcej szczegółów można znaleźć na naszym fanpage'u: Strefa Edukacyjna IPN (<https://www.facebook.com/eduipn>).

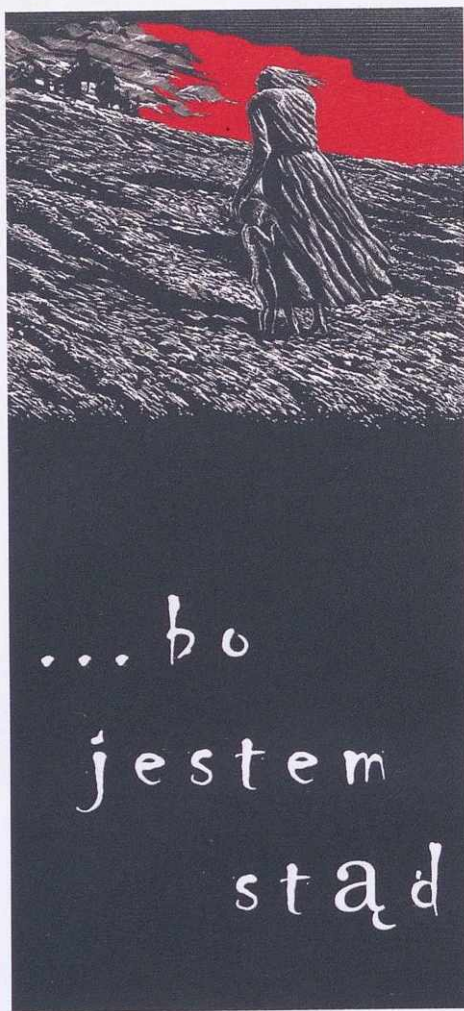
IPN

Film o losach Warmiaków

W Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej 6 czerwca miało miejsce niecodzienne wydarzenie... prapremiera filmu „...bo jestem stąd” w reżyserii Grzegorza Linkowskiego. To dokument, który opowiada o losach Warmiaków w czasie wkroczenia wojsk sowieckich na teren Prus Wschodnich w końcowych miesiącach II wojny światowej.

Inicjatorem podjęcia tak trudnego tematu jest dziennikarz Krzysztof Ziemięć, którego zainspirowała do tego notatka prasowa na temat procesu męczenników warmińskich.

– Znam historię Polski całkiem niezłe, a o męczennikach warmińskich po raz pierwszy usłyszałem. Dobry dziennikarz to dziennikarz, który sam sobie zadaje pytania i stara się na nie głośno odpowiadać. Tak też było w tym przypadku. Sięgnąłem do Internetu, bo tam jest wszystko i zacząłem szukać dojsć, kontaktów i świadków. Udało się. Jest to dla was, mieszkańców tych ziem, bardzo intymne dzieło – mówił na prapremierze.



50-minutowy film porusza bardzo delikatne i wrażliwe doświadczenie Warmiaków. Autorzy dotarli do świadków tamtych

wydarzeń, szczególnie kobiet, które po tylu latach opowiadają o gwałtach i zabójstwach dokonywanych na ludności Warmii przez sowieckich żołdaków. Bardzo często jest to osobista narracja, niezmiernie wzruszająca i szokująca. Punktem wyjścia jest wspomnienie wybranych męczenników warmińskich.

Przed projekcją filmu Marek Wiktor Leyk, szef Kancelarii Sejmiku Województwa Warmińsko-Mazurskiego, zacytował relację swojej niani z czasu tzw. wyzwania Warmii: „Niemcy pisali w gazetach i mówili o dzikich żołnierzach rosyjskich, którzy będą wszystkich mordować. Ale my się nie baliśmy, bo byliśmy młodzi i nie byliśmy winni za wojnę. Ale kiedy weszli na podwórze, a byliśmy na gospodarce tylko z matką, zaciągnęli mnie do szopy tacy dwaj i zrobili ze mną, co chcieli. Wtedy nadjechał żołnierz na koniu, chyba oficer, i obydwo zastrzelił. Po kilku tygodniach na szaber przyszedł taki jeden z drugim, co furmanką przyjechał. Brata pobili, bo do domu nie chciał wpuścić – a nie było już co rabować. Poszli do szopy. Jeden wynosił narzędzia, a drugi się za mnie zabrał. Potem było spokojnie, bo nic do szabrowania nie zostało”.

Film jest nie tylko relacją minionych wydarzeń, ale także próbą odpowiedzi na pytanie o tożsamość Warmiaków. Rozmowy z dawnymi mieszkańcami Warmii przeplatane są syntetycznym przedstawieniem historii tej krainy i jej złożoności. Film będzie emitowany w programach TVP na początku roku 2015. Dodatkowym elementem wprowadzającym do projekcji był występ Chóru Prawosławnego Ordynariatu Wojska Polskiego.

PIOTR SROGA

Olsztyn miasto naszej młodości...

to tytuł nowej publikacji uzupełnionej dwiema płytami CD z nagraniami wspomnień przedwojennych mieszkańców Olsztyna o miasteczku ich młodości. Rozmówcami Gabrieli Czarkowskiej-Kusajdy jest dziesięć osób, z których troje mieszka do dziś w Olsztynie, a pozostali w Niemczech.

Realizatorka nagrań przyjęła interesującą formułę: wspomnienia te dotyczą kilkunastu tematów z życia przedwojennego Olsztyna, takich jak szkoła, dworzec kolejowy, Jakubowo, pomnik plebiscytowy, browary olsztyńskie, kina, stadion leśny, kawiarnie, teatr, kąpielisko, lotnisko. I tak na przykład o browarach olsztyńskich – a było ich cztery – opowiada trzech rozmówców, z których jeden wspomina jak rozwoził lód, dostarczany właśnie przez browary.

Mieszkający do dziś w Olsztynie Otto Tuszyński opowiada o kawiarni zamkowej, w której przed wojną kwitło nocne życie Olsztyna. Ciekawe są też wspomnienia o olsztyń-

skich kinach, a zwłaszcza o „Luisentheater” przy Rynku, w którym potem mieściło się kino „Awangarda”, najstarsze z olsztyńskich kin, nie tak dawno wyrzucone ze swojej starej siedziby.

Najcieplejsze wspomnienia dotyczą olsztyńskich szkół, do których uczęszczali bohaterowie nagrań. W tych wspomnieniach odnajdziemy szkołę przy obecnej ulicy Limanowskiego, szkołę Kopernikusschule, w której uczył się niedawno zmarły Ernst Jahnke, a w której dziś jest Urząd Wojewódzki, Luisenschule przy dzisiejszej ulicy Wyzwolenia i wreszcie Charlottenschule naprzeciwko Wysokiej Bramy. W niej uczyła się Maria Anielska-Kołpa, do dziś mieszkająca w Olsztynie, która opowiadała m. in. o tym, że aż do wybuchu wojny połowa uczennic była wyznania katolickiego, połowa ewangelickiego.

Najciekawszy z tematów to podróż tramwajem po starym Olsztynie oglądanym oczami mieszkańców miasta. Christel Becker opo-

wiada o tym co widać było z okien tramwaju jadąc od głównego dworca nad Jezioro Długie, z kolei Elżbieta Lobert, mieszkająca do dziś w Olsztynie, o wypadku kiedy tramwaj spadł ze stromej ulicy Grunwaldzkiej. Dowiadujemy się też z tych opowieści, że tramwaje w Olsztynie kursowały od 1907 do 1965 roku.

Publikacja powstała w ramach projektu polsko-niemieckiego, realizowanego przez Olsztyńskie Stowarzyszenie Mniejszości Niemieckiej oraz Centrum Kultury Prus Wschodnich w Ellingen w Niemczech. Wielka szkoda, że publikacja ta wraz z nagraniami wydana została jedynie w języku niemieckim. Już trwają rozmowy o przetłumaczeniu tych wspomnień na język polski. Mają one przecież wartość dokumentalną, tym większą, że nagrani rozmówcy to osoby w podeszłym wieku i jest to ostatni moment żeby zarejestrować ich wspomnienia i obraz Olsztyna widziany przez nich, a nie przez historyków.

JOANNA WAŃKOWSKA-SOBIESIAK

Zagrożenia i poszukiwanie tożsamości

Wojna często zaczyna się od pozornych gestów dobrej woli. Do portu w Gdańsku wpłynął z przyjacielską wizytą przestarzały pancernik „Schleswig-Holstein”. To jego wystrzały w kierunku polskiej placówki na Westerplatte 75 lat temu, w dniu 1 września 1939 roku o świcie przed 5 rano i nalot na bezbronną ludność Wielunia rozpoczęły II wojnę światową. Choć w tym dniu nie była ona jeszcze światowa.

Sojusznicy nie wsparli Polski

Zdradziecko została napadnięta II Rzeczpospolita, która cieszyła się z niepodległości zaledwie 21 lat: od 11 listopada 1918 roku. I zostawiono ją samą sobie. Mimo tego, że Wielka Brytania i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę w niedzielę 3 września Polska była sama, zdana wyłącznie na siebie. I miała dwóch wrogów o czym dopiero dowiedziano się świętem 17 września, gdy Armia Czerwona wypełniając zapisy tajnego protokołu Paktu Ribbentrop – Molotow z 23 sierpnia 1939 roku wtargnęła na wschodnie kresy Polski. Nazwano to – i słusznie – IV rozbiorem Polski. Agresorzy doszli do ustalonej przez siebie wcześniej linii demarkacyjnej na Bugu; osiągnęli to, co proponował – i co nie zostało przyjęte – brytyjski polityk na Konferencji Pokojowej w Wersalu. Polska znowu zniknęła z mapy Europy.

W niespełna miesiąc Polacy stracili to co najważniejsze: wolne państwo, a ich tożsamość – jak wkrótce miało się okazać – była śmiertelnie zagrożona. Hitlerowcy zaczęli od wyniszczenia inteligencji, która stanowi i pod jej wpływem kształtuje się naród. W listopadzie 1939 roku zaprosili do sal Uniwersytetu Jagiellońskiego zanych profesorów tylko po to, by ich zgładzić. Stalin toczył swoją wojnę z Polakami w inny sposób. Aby się ich pozbyć z zajętych Kresów, włączonych przemocą do Zachodniej Ukrainy i Białorusi, od 10 lutego 1940 roku zaczęły się masowe wywózki na Sybir, w ciężkich, ekstremalnie ciężkich warunkach, po prostu w zwykłych wagonach towarowych. Niezwykle trudny podróż gęsto znaczyła śmierć. Taki był los Polaków – Sybiraków. Niemcy pod rozkazami Hitlera mieli doprowadzić do zagłady narodu polskiego, jego całkowitego wyniszczenia. Stalin na wschodzie realizował podobne cele.

Zginął z okrzykiem „Jeszcze Polska nie zginęła”

W Prusach Wschodnich, choć wojna wybuchła zaledwie 180 km od Olsztyna, o tym można się było dowiedzieć z prasy i radia. Tu życie toczyło się tak jak przedtem. I choć nie było działań wojennych, z olsztyńskiego

Starego Miasta zniknął, został zburzony jeden dom na Fisch Markt. Inne pozostały. Ten miał napis „Gazeta Olsztyńska”.

Hitlerowcy wkroczyli do niego 1 września 1939 roku. Ostatnim wydaniem gazety był numer z 31 sierpnia z wezwaniem „Bez trwogi Bracia!”. Tylko kilka dni przebywał jeszcze w nim, w areszcie domowym ostatni redaktor Seweryn Pieniężny jr. Potem zabrano go do obozu w Hohenbruch, pod Królewcem. Oprawcy zastrzelili go w przeddzień jego 50. urodzin, 24 lutego 1940 roku. Zginął z okrzykiem na ustach „Jeszcze Polska nie zginęła”.

A co z budynkiem pisma? Jeńcy rozebrali go cegła po cele, tak by nic nie zostało. Tu gdzie rozwijało się polskie słowo, próbowano zniszczyć je całkowicie, nazwano je miejscem hańby. Tożsamość to przecież także polskie słowo. Miało go nie być. Już wcześniej podczas otwarcia w 1925 roku nowego teatru jako „Treadank” – podziękowania za wierność po wygranym plebiscycie w lipcu 1920 roku renegat Max Worgitzki krzychał, że z tej sceny nie padnie nigdy ani jedno polskie słowo. 20 lat później, bo w listopadzie 1945 roku polscy aktorzy grali „Moralność Pani Dulskiej”, pierwszą polską sztukę. Polskie słowo cieszyło i tych, którzy tu zostali, a posługiwali się nim przed wojną, a i tych, którzy napłynęli tu w wyniku fałszywie nazwanej „repatriacji”, czyli z polskich Wschodnich Kresów, w tym i z Wileńszczyzny.

Kres Prus Wschodnich

22 czerwca 1941 roku zmienił relacje państw: niemieckiej III Rzeszy i stalinowskiego Związku Radzieckiego, gnębiących Polaków i wymazaną z map rozgrabioną Polskę. Niezwykle pokazuje to los Lwowa, gdy hitlerowską okupację zamieniła sowiecka. I z równie tragicznym skutkiem dla pozostałej tu ludności polskiej.

Kres Prus Wschodnich oznaczał już dymnony nalot brytyjskich bombowców na dumny Królewiec w sierpniu 1944 roku. Przede wszystkim zburzono i spalono rejony starego miasta. 9 kwietnia 1945 roku Armia Czerwona zdobyła pruskie gniazdo rewanżyzmu, czyli Twierdzę Königsberg. Nazwane tak siedem

wieków wcześniej na cześć czeskiego Króla Wacława, który pomagał Krzyżakom w zdobyciu tych terenów na pogańskich Prusach.

Tu odnalazł swój dom

Byłe Prusy Wschodnie podzielono na dwie części. Na Warmię i Mazury zaczęli przybywać nowi osadnicy. Nie tylko z Kresów, bo także z Warszawy. Był też między nimi Andrzej Wakar, znamienity historyk, brał udział w Powstaniu Warszawskim w obronie cywilnej. Autor książek o dziejach Olsztyna oraz „Gazety Olsztyńskiej”. Na Warmii i Mazurach odnalazł swój dom, swoje miejsce na ziemi. Podobnie jak wielu innych mieszkańców Warszawy.

Obecnie od Kętrzyna po Dąbrówno mamy wiele ulic, czy placów Powstańców Warszawy. A obok są ulice Kętrzyńskiego, Mrongowiusza, Zientary-Malewskiej, Malewskiego, Małków, Pieniężnego. Wilniuki przywieźli obrazy Matki Boskiej Ostrobramskiej – Miłosierdzia i ten największy umieścili w katedrze św. Jakuba Starszego w Olsztynie w lewej nawie, a mniejszy m. in. w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa. Od 1945 roku zaczęliśmy tu budować nową tożsamość...

Atlantyda Północy

Obecnie dla jednych Warmia i Mazury są miejscem pracy. Dla innych Warmia jest niezwykle interesująca ze względu na swoje dzieje. Stanowiła dominium biskupa warmińskiego, czyli obszary, które były dla niego utrzymaniem, a my jesteśmy jego spadkobiercami. Najdłużej w historii, bo 306 lat była częścią Korony Polskiej od 1466 do 1772. Natomiast złożoność dziejów Mazur i miejscowej ludności niezwykle ciekawie opisał Melchior Wańkowicz w *Na tropach Smętka*.

Daty 1939-1945 spowodowały, iż część substancji zabytkowej i mieszkalnej zniknęła na zawsze. Dlatego niektórzy nazwali to „Atlantyda Północy”. Nowe pokolenia znalazły tu nową tożsamość, przynosząc ze sobą swoje trudne dzieje. A nasza tożsamość na Warmii i Mazurach stanowi wciąż na nowo odkrywaną kartę, po 75 latach od wybuchu II wojny światowej – 1 września 1939 roku.

Blog Kowalewskiego

Nowy rodzaj dziennikarstwa w Internecie?

W Internecie pojawił się nowy rodzaj dziennikarstwa za sprawą Mariusza Kowalewskiego. Ten dziennikarz śledczy uruchomił blog poświęcony tylko jednej osobie: senatora PO i rektora UWM prof. Ryszarda Góreckiego. Celem blogu jest zniszczenie profesora Góreckiego i jako człowieka, i jako polityka. Jak to określił w rozmowie prywatnej ze mną jeden z pracowników Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego: „Kowalewski grilluje rektora, a paliwa dostarcza mu grupa wrogów prof. Ryszarda Góreckiego”.

Kim jest Mariusz Kowalewski? Dziennikarz ten sam reklamuje się na blogu, wymieniając nagrody, które zdobył oraz redakcje, w których pracował. Zaczynał karierę jako dziennikarz „Gazety Olsztyńskiej”, następnie lokalnej „Gazety Wyborczej”, ale zasłynął na rynku dziennikarskim dopiero jako dziennikarz „Rzeczpospolitej” tekstem ujawniającym seksaferę w olsztyńskim ratuszu. Za ten tekst zdobył jedną z nagród miesięcznika „Press”.

Osobiście wiązałem duże nadzieje z pojawieniem się w Olsztynie młodego, odważnego i wydawało mi się wówczas – ucziwego dziennikarza. Dałem temu wówczas wyraz w „Debacie”. Jednak jego późniejsza kariera wzbudzała coraz większe moje wątpliwości co do motywów wykonywania przez Kowalewskiego zawodu dziennikarskiego.

Pierwszą, dużą kompromitacją tego dziennikarza był atak na poseł Lidie Staroń. Atak, który był na rękę zarówno polityków Platformy Obywatelskiej z Olsztyna, jak i lobby prezesów spółdzielni mieszkaniowych, których tłustym posadom, poza wszelką kontrolą, zagroził projekt ustawy przygotowanej przez panią poseł.

Dziennikarz zarzucił poseł, iż miała rzekomo skorzystać z przepisu prawa, jako członek Spółdzielni Mieszkaniowej „Pojezierze”, za którym optowała jako poseł i dzięki temu mogła przejąć za grosze na własność działkę dzierżawioną od spółdzielni. Artykuł ten spowodował wówczas nawet zawieszenie poseł jako członka klubu poselskiego PO i mógł zakończyć jej karierę polityczną, gdyby okazał się prawdą. Jednak proces sądowy oczyścił panią poseł a skompromitował dziennikarza i redakcję „Rzeczpospolitej”, która musiała wypłacić na cele społeczne 100 tysięcy złotych. Mariusz Kowalewski musiał rozstać się z redakcją.

Powrócił do tej redakcji na krótko po tym, jak właściciel odwołał redaktora naczelnego za opublikowanie tekstu Cezarego Gmyza

o śladach trotylu na pokładzie prezydenckiego samolotu. Powrócił, by wziąć w obronę byłego dziekana Wydziału Sztuki UWM dr. hab. Piotra Obarka podejrzanego m. in. o popełnienie plagiatu pracy doktorskiej i skompromitować osoby, które sprawę doktoratu dr. hab. Obarka ujawniły.

Jako, że sprawę doktoratu poznałem dokładnie i byłem autorem wielu tekstów na ten temat, więc na własnej skórze mogłem ocenić metodę manipulacji Mariusza Kowalewskiego. Najpierw zlecenie na rektora UWM, redaktora „Forum Akademickiego” dr. hab. Marka Wrońskiego, który też opisał *casus* Obarka, na „Debatę” i na mnie dostał Cezary Gmyz. Dowiedziałem się o tym od samego syna Piotra Obarka – Mateusza, który podchmielony zadzwonił do mnie i chwalił się znajomością z „Czarkiem” (Cezarym Gmyzem), który zajmie się „Rysiem-Misiem”, jak określił rektora UWM. Sądziłem, że to przechwálki podpitego człowieka, ale ku memu zdumieniu, autor tak poważnych tematów śledczych rzeczywiście wysłał do rektora listę pytań dotyczących jego rodziny zatrudnionej na UWM. To jeszcze mogłem zrozumieć. Ale w tym zestawie były też pytania dotyczące miesięcznika „Debata” i mojej osoby. Dziennikarz pytał, czy „Debata” i ja jesteśmy finansowani przez UWM.

Cezary Gmyz ostatecznie nie podjął tego tematu. Wówczas przejął go Mariusz Kowalewski, który wysłał identyczną listę pytań. Następnie ukazały się dwa jego teksty: jeden w „Rzeczpospolitej” zarzucający red. Markowi Wrońskiemu plagiat (red. Wroński wytoczył za ten artykuł redakcji i autorowi proces) oraz w tygodniku „Uważam Rze” (po tym, jak odeszła z tego tygodnika praktycznie cała redakcja na znak protestu przeciwko decyzji właściciela, który nie zgadzał się na publikację Cezarego Gmyza). W tygodniku Mariusz Kowalewski przedstawił w artykule pt. „Zniszczyć naukowca i artystę” Piotra Obarka jako ofiarę spisku, w którym udział miała wziąć sama minister szkolnictwa wyższego. Dziennikarzowi śledczemu nie zadrzała

klawiatura komputera nawet wtedy, gdy pisał, że Piotr Obarek znalazł przypadkowo swoją pracę doktorską w pracowni (rok po tym jak wszystkie egzemplarze pracy w dotychczas niewyjaśnionych okolicznościach zniknęły z ASP w Warszawie).

Następna publikacja miała być atakiem na rektora UWM prof. Ryszarda Góreckiego, który wymierzył Piotrowi Obarkowi karę upomnienia za nepotyzm. Kara zresztą nieskuteczna, bo dana po ustawowym terminie, więc po zaskarżeniu Piotra Obarka została uchylona. Z kolei Piotr Obarek na swoim blogu oskarżył rektora o nepotyzm, powołując się na ustalenia dziennikarza śledczego.

Mariusz Kowalewski dostał jeszcze inną „bombę”, która miała prof. Ryszarda Góreckiego rozerwać na strzępy. Jednak żadna z warszawskich redakcji, którym Kowalewski oferował materiał nie była nim zainteresowana, gdyż „bomba” nie była poparta żadnymi dowodami. W „Rzeczpospolitej” nie mógł już sprzedać nic, gdyż był spalony po wytoczeniu procesu przez red. Marka Wrońskiego. Kowalewski próbował więc sprzedać materiał we „Wprost”, ale nawet red. Latkowski, który gotów jest opublikować wszystko dla ratowania tygodnika przed upadkiem, odmówił.

Wobec tego Mariusz Kowalewski zdecydował się „odpalić bombę” na własnym blogu w Internecie, specjalnie w tym celu uruchomionym. Uczynił to 7 maja 2014 roku, dokładnie w dniu, w którym Piotr Obarek przegrał proces wytoczony prof. Małgorzacie Chomicz o fałszywe oskarżenie o popełnienie plagiatu. Nomen omen tego dnia, po wyjściu z sądu po ogłoszeniu wyroku, wpadłem na Mariusza Kowalewskiego oczekującego na kogoś w swoim aucie *vis à vis* sądu.

Tą „bombą”, która miała zniszczyć rektora Góreckiego był skan kopii wyroku sprzed 36 lat skazującego Ryszarda Góreckiego za współzycie z nieletnią przed ukończeniem 15. roku życia. Jednak „bomba” nie wypaliła.

Okazało się, o czym poinformował na blogu sam Kowalewski, że nie istnieją akta tej sprawy, dziennikarz nie dotarł też do rzekomej ofiary. Sam zainteresowany na pół roku przed publikacją Kowalewskiego, gdy dziennikarz zapytał go o ten wyrok – zaprzeczył, by miał w życiorysie taką sprawę i natychmiast zgłosił do prokuratury sprawę posługiwania się przez dziennikarza fałszywką. Prokuratura Rejonowa Olsztyn-Południe wszczęła dochodzenie, a jej dotychczasowe ustalenia potwierdzają wersję Ryszarda Góreckiego, iż kopia jest fałszywką.

Zadałem sobie pytanie, czy ja bym taki wyrok opublikował? NIE. I to z kilku powodów.

Najpierw sprawa pochodzenia tego wyroku. Przecież Mariusz Kowalewski nie znalazł go przypadkiem na swojej wycieraczkę. Mógł go otrzymać tylko z jednego źródła, skoro wszystkie akta sądowe z tamtego okresu poszły na przemiał: od byłego esbeka, bo tylko esbecja gromadziła lub preparowała takie kompromaty (materiały kompromitujące w języku Czecha). Nie chciałbym być narzędziem w ręku esbecji. Że ta wersja jest prawdopodobna potwierdził mi były oficer kontrwywiadu, który uzyskał informację, że grupa postkomunistów i agencjóW WSI+SB chce sprzedać materiały mające skompromitować Ryszarda Góreckiego.

Kolejny powód dla którego bym nie opublikował tego skanu, to brak wiarygodnego potwierdzenia tego strasznego dokumentu w dwóch niezależnych źródłach. Mariusz Kowalewski takiego potwierdzenia nie uzyskał. Jedynie powołał się na słowa sędzi, której nazwisko figuruje na skanie wyroku, iż rozpoznaje czcionkę maszyny do pisania, którą się posługiwała jako jedyna w sądzie rejonowym w Gdańsku.

Ostatni powód i najważniejszy, dla którego bym tego wyroku nie opublikował, to brak interesu społecznego. Gdyby wyrok dotyczył polityka, który wytyka innym niemoralne postępowanie na tle obyczajowym albo gdybym otrzymał wiarygodne informacje, że molestuje studentki i podległe pracownice, to publikacja wyroku sprzed 36 lat, za który dana osoba poniosła karę, i który uległ zatarciu, miałyby uzasadnienie. Ale tutaj na takie przesłanki Mariusz Kowalewski się nie powołał.

Gdy okazało się, że ta „bomba” nie zabiła rektora i na uczelni została przyjęta z niedowierzaniem, głównie z uwagi na osobę dziennikarza, ten nagle zaczął publikować zarzuty zupełnie innego rodzaju. Co pewien czas „odpalał” kolejny tekst, w którym atakował rektora i jego otoczenie jako osoby, które wykorzystały w poprzedniej kadencji swoje funkcje do „skoku” na uczelnianą kasę, m. in. poprzez proceder sprzedaży działek UWM na tzw. „słupy” czyli, że działkę, którą przyznano pracownikowi ten kupował razem z osobą nieuprawnioną, spoza uczelni. Dziennikarz powołuje się tutaj na faktury, w których jest posiadaniu. Oczywiście jest, że takie dokumenty mógł otrzymać tylko od pracowników UWM, którzy mieli do nich dostęp.

Wystarczy spojrzeć jak boleśnie poprzednia ekipa przeżyła porażkę w walce o rektorat UWM i jak walka wyborcza była zacięta. Prof. Ryszard Górecki wygrał wybory z prof. Józefem Górniewiczem minimalną przewagą głosów. W przegranej ekipie znalazł się prorektor Władysław Kordan, który przez cały czas swojej kadencji miał proces autolustracyjny, do dzisiaj nie zakończony. Jak wynika z publikacji Mariusza Kowalewskiego w „Rzeczpospolitej” sprzed kilku lat na ten temat, prof. Kordan podejrzewał, iż to ekipa prof. Góreckiego chciała go skompromitować „teczką SB” za poparcie kandydatury prof. Górniewicza. Pretensje może mieć także drugi prorektor prof. Szczepan Figiel, który miał nadzór nad projektem w sprawie, którego dochodzenie prowadzi prokuratura. Uczelnia musi bowiem oddać 2,5 mln zł środków pobranych na wynagrodzenia przez ekipę realizującą projekt sztucznego rozmnażania węgorza, gdyż fundator środków uznał te wynagrodzenia za bezzasadne.

Wsprawie tekstów na blogu Mariusza Kowalewskiego obecnie toczy się kilka dochodzeń prokuratorskich: prokuratura z urzędu prowadzi dochodzenia w prawie posłużenia się przez dziennikarza fałszywym dokumentem (skanem wyroku), pomimo świadomości, że dokument jest fałszywy. Do prokuratury wpłynęło też zawiadomienie z art. 212 k.k. o zniesławienie. Z kolei CBA bada dokumenty sprzedaży działek UWM.

Czym zakończy się sprawa oskarżeń na blogu Mariusza Kowalewskiego? Jeśli wszystkie te oskarżenia okażą się nieprawdziwe, a zwłaszcza, gdy taki okaże się skan wyroku, Mariusza Kowalewskiego czeka wysoka grzywna. Czy dziennikarz to wkalkulował i uznał, że *per saldo* to się mu opłaci? Gdyby tak było, to oznacza narodziny nowego zjawiska w Internecie: *desperados* do wynajęcia, którzy nie cofną się przed publikacją żadnych, nawet najbardziej plugawych i absurdalnych oszczerstw, jeśli zleceniodawca za to odpowiednio zapłaci.

Niezależnie od motywów dziennikarza i jego wiarygodności reakcja zaatakowanych osób ze świecznika władzy, a taką osobą jest prof. Ryszard Górecki oraz instytucji sprawujących nad nimi nadzór, powinna być natychmiastowa i oczywista. Sam rektor powinien był natychmiast zwrócić się do organów zewnętrznych o przeprowadzenie kontroli pod kątem postawionych przez dziennikarza zarzutów, a te organa same z siebie powinny z taką kontrolą wkroczyć, a jej wyniki ogłosić publicznie. To jest najskuteczniejsza metoda przeciwko oszczercom. CBA bada tylko sprawę sprzedaży działek, ale oskarżenia Mariusza Kowalewskiego nie dotyczą tylko działek.

Władza, wszelka władza, musi być transparentna, a każdy obywatel, któremu powiedzono jakieś stanowisko publiczne i zaufano, musi się liczyć z atakami, nawet niesprawiedliwymi i oszczerczymi.

ADAM J. SOCHA

Temida contra dziennikarze

Terminy (niezwykle) uciążliwe

Wciąż czekamy na ostateczne rozstrzygnięcie trwających postępowań sądowych w sprawie red. Andrzeja Pieślaka z Lidzbarka Warmińskiego oraz red. Wiktora Jaworskiego z Nidzicy. Jak wiadomo postępowania sądowe trwają długo, a nawet bardzo długo. Trudno cierpliwie czekać na wyznaczenie terminów przez sądy wyższej instancji.

Czy było zniesławienie w przypadku red. Andrzeja Pieślaka rozstrzygnie Sąd Okręgowy w Olsztynie. Dziennikarz ma prawo się bronić i dlatego dopiero po skierowaniu apelacji sąd wyda prawomocne orzeczenie. I instancja nie oznacza zakończenia postępowania.

Przypomnijmy, że redaktora skazano z osławionego art. 212 kodeksu karnego. „Osławionego”, gdyż skrytykowana osoba może się powołać na zniesławienie. Wyrok i skazanie dziennikarza w takich sprawach oznacza także przeciwstawianie się wolności słowa. Dlatego niektórzy redaktorze odstępają od krytyki, czyli sami się cenzurują, właśnie po to, by nie być narażonym na sprawę karną.

Na kilku Zjazdach Delegatów SDP w Warszawie podejmowano uchwały w sprawie podjęcia kroków zmierzających do wykreślenia tego artykułu z karnej ustawy. Mijały one bez echa. I chociaż takie starania podejmowano na komisji sejmowej, niczego nie wskórano. Art. 212 k.k. jest w dalszym ciągu obowiązujący i będzie – niestety – wiązał ręce dziennikarzem. A tym samym nie może być mowy o pełnym prawie do krytyki prasowej, wolności w wypowiedzianiu się.

Warto wspomnieć, że na tych zjazdach naszego Stowarzyszenia mówiono o projektach nowej ustawy „Prawo prasowe”. Obecnie obowiązujące zapisy zostały uchwalone przez Sejm w rok po zniesieniu stanu wojennego, czyli w 1984 roku. Czyli to już 30 lat. Ma się tym zająć kolejny Zjazd SDP w październiku br. Czy będzie efekt, ano zobaczymy.

Termin w sprawie red. Wiktora Jaworskiego w II instancji wyznaczono na koniec września. Były naczelny „Gazety Nidzickiej” broni się przed zarzutem, że wiedział jakie są przyczyny wypowiedzenia mu umowy o pracę, w momencie gdy otrzymał pismo pracodawcy.

Ciąg dalszy na s. 10 →

Co jest przetwarzaniem informacji?

Anonimizacja danych nie jest przetwarzaniem informacji i nie podlega ograniczeniom wynikającym z ustawy o dostępie do informacji publicznej – stwierdził 29 lipca Wojewódzki Sąd Administracyjny w Białymstoku. Tym samym uchylił dwie decyzje w sprawie odmowy udzielenia informacji publicznej przez prezesa Sądu Rejonowego o wszystkich wyrokach wraz z uzasadnieniem z lat 2010-2014.

Sprawa wzięła swój początek, gdy Prezes Sądu Rejonowego w B. wezwał wnioskującego o informacje o wyrokach do uzupełnienia wniosku poprzez wykazanie, że udostępnienie żądanej informacji jest szczególnie istotne dla interesu publicznego w terminie 14 dni. W uzasadnieniu wezwania wskazano, że udzielenie informacji w żądanej formie wymaga przetworzenia tej informacji poprzez anonimizację zawartych we wnioskowanych wyrokach danych osobowych, a powyższa czynność ze względu na ilość orzeczeń – 131, wymagałaby zaangażowania dodatkowych sił i środków.

W odpowiedzi na to wezwanie powód poinformował, że nie zgadza się z zakwalifikowaniem żądanej informacji do kategorii informacji przetworzonej, argumentując, że jej przygotowanie polega wyłącznie na wykonaniu czynności czysto mechanicznych. Stąd też nie może być mowy o konieczności wykazania przez żądającego szczególnej istotności informacji dla interesu publicznego. W efekcie Prezes Sądu Rejonowego w B. odmówił udzielenia wnioskodawcy żądanej informacji publicznej.

Uzasadniając decyzję wyjaśnił, że wnioskodawca nie wykazał, iż uzyskanie informacji we wnioskowanym zakresie, przy konieczności podjęcia ogromnej ilości dodatkowych czynności związanych z anonimizacją danych osobowych w 131 wyrokach, jest szczególnie istotne dla interesu publicznego. Powód decyzję taką zaskarżył, ale Prezes Sądu Okręgowego w B. utrzymał w mocy zaskarżone rozstrzygnięcie. Prezes Sądu Okręgowego przyznał rację odwołującemu się, iż sama konieczność anonimizacji żądanych informacji,

polegająca na wykreśleniu z nich elementów formalnych dotyczących danych osobowych, nie oznacza jeszcze przekształcenia istniejącej informacji prostej w informację przetworzoną. Stwierdził jednocześnie, że nie ma możliwości przedstawienia żądanej grupy informacji prostych „od ręki”, bez przedsięwzięcia dodatkowych działań. Do przygotowania żądanej informacji niezbędne byłoby dodatkowe zaangażowanie pracowników sądowych dla wyszukania informacji interesujących skarżącego. Z tego też względu Prezes Sądu Okręgowego uznał, że żądanie wnioskodawcy należy zakwalifikować, jako żądanie udostępnienia informacji złożonej.

W skardze do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego zainteresowany uzyskaniem informacji wniósł o uchylenie zaskarżonej decyzji oraz decyzji organu I instancji. W uzasadnieniu skargi jej autor w większości powtórzył argumenty zawarte w odwołaniu od decyzji organu I instancji. Uzupełniając powyższą argumentację skarżący powołał bogate orzecznictwo sądów administracyjnych, podkreślając, że samo odszukanie żądanych przez niego informacji, tj. orzeczeń Sądu Rejonowego i ich zanonimizowanie, nie czyni z nich informacji przetworzonych.

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Białymstoku uznał, że skarga zasługuje na uwzględnienie, bowiem zasadne okazały się jej zarzuty, dotyczące naruszenia przez organy art. 3 ust. 1 pkt 1 u.d.i.p., zgodnie z którym prawo do informacji publicznej obejmuje uprawnienie do uzyskania informacji publicznej, w tym uzyskania informacji przetworzonej w takim zakresie, w jakim jest to szczególnie istotne dla interesu publicznego.

W sprawie nie budziło wątpliwości Sądu, ani organów wydających rozstrzygnięcia w sprawie, że wnioskodawca zwrócił się z wnioskiem o udzielenie informacji publicznej do organu zobowiązanego do udzielania informacji publicznej w trybie i na zasadach u.d.i.p., który posiada tę informację publiczną i nie kwestionuje jej publicznego charakteru.

W ocenie Sądu błędne jest rozumienie informacji przetworzonej jako tej, która wymaga

zaangażowania pracowników sądowych i poświęcenia określonej ilości czasu na wyodrębnienie zespołu informacji z ogólnego zbioru.

Techniczne czynności organu takie jak selekcja wyroków z zakreślonego przez skarżącego zbioru, są zwykłymi zabiegami dokonywanymi na poszczególnych informacjach prostych (wyrokach sądów) i nie wpływając na treść tych informacji nie noszą cech ich przetwarzania. Nie ma zatem mowy o powstaniu jakościowo nowej informacji, nieistniejącej dotychczas w przyjętej ostatecznie treści czy też postaci.

Również nakład pracy konieczny do rozpatrzenia danego wniosku o udzielenie informacji publicznej oraz koszty związane z udzieleniem informacji nie przesądzają o tym, czy dana informacja publiczna ma charakter prosty czy przetworzony.

Zatem w ocenie Sądu w obowiązującym stanie prawnym należy uznać, że wniosek o udostępnienie informacji publicznej w postaci przesłania wszystkich wyroków wraz z uzasadnieniem z lat 2010-2014, chociaż wymaga dodatkowego nakładu pracy, nie jest wnioskiem o udzielenie informacji publicznej przetworzonej i jako taki nie wymaga wykazania istnienia interesu publicznego.

ADAM MACIEJEWSKI

Zapraszamy do odwiedzenia portalu...
www.pogotowiedziennikarskie.pl

Temida contra dziennikarzy cd.

Szkopuł w tym, że rozwiązanie umowy o pracę za wypowiedzeniem było bardzo ogólnikowe i nie zawierało żadnych konkretnych. Każdy pracownik może się bronić w ten sposób, iż wykazuje, że zabrano mu prawo do obrony, bo nie wie przed czym ma się dokładnie bronić. Taka sytuacja nie pozwala na wysuwanie własnych argumentów, bo z drugiej strony jest wielkie „nie”.

Naczelnicy broni się w ten sposób, że w czasie spotkań z pracodawcą, gdy był jeszcze zatrudniony, także nie określano dokład-

nie o co chodzi. Pracodawca wskazywał co prawda w procesie, a tym samym powoływał się na spóźnione argumenty o istnieniu „linii pisma”, czy jakie wymagania stawiano redaktorowi. Jeden ze świadków nawet posunął się tak daleko, że zaczął generalnie krytykować W. Jaworskiego, odwoływał się do tego, że nie umiał pisać (sic!), że jego materiały przerabiano. Jeśli było tak źle to dlaczego pełnił swoją funkcję ponad 5 lat i nikt, zdawałoby się tak zasadniczych zarzutów w ogóle nie podnosił.

Oczywiście można się powoływać na „twarde prawo, ale prawo” (*dura lex, sed lex*), ale to wcale nie oznacza, iż druga strona broni się „na siłę”, starając się zdyskredytować dziennikarza, czyli w ten sposób jawnie naruszać prawo. Dlatego należy zawsze bronić się do końca i korzystać z dobrodziejstwa jakim jest II instancja, która rozpatruje środek odwoławczy – apelację.

Poinformujemy na naszych łamach o ostatecznych rozstrzygnięciach w tych dwóch sprawach.

RED.

Zbigniew Połoniewicz

– znalazłem miejsce do „ładowania akumulatorów”

Od ponad dwudziestu lat jest związany z lokalną prasą, jako dziennikarz i redaktor naczelny. Niektóre tytuły zakładał osobiście. Obecnie jest radnym Rady Powiatu Ostródzkiego, co pozwala mu spojrzeć obiektywnie na niektóre sprawy. Od marca tego roku w Zarządzie Warmińsko-Mazurskiego Oddziału SDP pełni rolę skarbnika.

Andrzej Zb. Brzozowski: Dziennikarstwo to dla Ciebie zawód, pasja czy hobby?

Zbigniew Połoniewicz: Na pewno pasja, ale także i pewnego rodzaju misja. To pisanie prawdy, bez względu na to, jaka by ona nie była, z wykorzystaniem dziennikarskiego warsztatu. Inaczej mówiąc opisywanie rzeczywistości.

Tylko wtedy, taki dziennikarz może się pewnie komuś narazić?

Takie przypadki są znane i często poruszane w środowisku. Także w naszym regionie. Doświadczyłem tego również na własnej skórze (w 2003 r.), jako redaktor naczelny „Głosu Ostródy”. Za dociekliwe i bezkompromisowe dochodzenie prawdy i oczywiście informowanie opinii społecznej na łamach tygodnika, zostałem przez wydawcę najpierw urlopowany, a następnie zwolniony. Przyczynił się do tego miejscowy układ samorządowo-biznesowy. Dlatego wiem o czym rozmawiamy.

Dawniej nie było takich problemów, dziennikarze nie mieli zbyt wielu wrogów?

Wyczuwam Twoją ironię. Wtedy oczywiście takie sprawy załatwiała cenzura. Obecne konflikty powstają zazwyczaj na styku władza lokalna – dziennikarz lokalnej gazety. Ale są także takie sytuacje w mediach ogólnopolskich.

Jesteś ostródzianinem od urodzenia?

Nie mogę tak dosłownie powiedzieć, bo mieszkam tu od trzeciego miesiąca życia, ale czuję się mocno związany z tym miastem i regionem.

„Głos Ostródy” był pierwszym niezależnym pismem w Ostródzie i okolicach?

Wcześniej była jeszcze „Gazeta Ostródzka”, a ja byłem redaktorem naczelnym „Głosu Ostródy” w latach 2001-2003. Dopóki nie znalazłem się na celowniku miejscowego układu.

Jak wspominasz tamte czasy, czy miałeś dużo swobody?

Początkowo zdecydowanie tak. Miałem kilkoro dziennikarzy, co w przypadku lokalnej gazety nie jest zbyt częstym zjawiskiem. Dawało to możliwości zajmowania się różnymi sprawami i szerokim zakresem tematyki, głównie społecznej. Czuło się wyraźnie różnicę w działaniu w porównaniu do okresu przed transformacją ustrojową, kiedy to władza określała zakres tematów, o których można było pisać.

Od razu udało Ci się zdobyć zaufanie miejscowych czytelników?

Z miesiąca na miesiąc nasz tygodnik (a byłem jego trzecim redaktorem naczelnym) zdobywał coraz więcej czytelników. Głównie ze względu na poruszane w nim tematy. Ludzie chcieli wiedzieć, co się wokół nich dzieje. W jakim kierunku idą zmiany ustrojowe. Doszło do tego, że z tygodnia na tydzień wzrastała sprzedaż. Wprowadziłem nawet sprzedaż jak to się mówi „z ręki”, na ulicy. Tygodniowo wychodziło około tysiąca egzemplarzy.

W tym czasie powstała jednak konkurencja, czyli kolejny tygodnik. Jego powstanie było spowodowane chęcią stworzenia przeciwwagi dla naszej działalności i odwrócenia uwagi mieszkańców od opisywanych przez nas problemów.

Z czego się to bierze, że lokalne gazety bardzo często zamieniają się w swego rodzaju periodyki śledcze?

Dzięki temu wiadomo jak działa miejscowa władza. Zawijają się koalicje, które decydują o wszystkim. Nie zawsze te działania są zgodne z oczekiwaniami społeczeństwa. Do tego dochodzą jeszcze mechanizmy władzy. I właśnie zadaniem dziennikarzy jest informowanie o tych wszystkich zjawiskach. Patrzenie władzy na ręce. To nie dziennikarze inspirowali takie sytuacje. Jest zupełnie odwrotnie.

Wychodzi więc na to, że takie lokalne media są dla tych społeczności ostatnią deską ratunku, jeżeli chodzi o wiedzę?

Tak, to jest prawda. Bardzo często, nie sąd, nie prokuratura, ale właśnie lokalna prasa, czyli miejscowi dziennikarze są dla mieszkań-



FOT. © ARCHIWUM PRYWATNE

ców małych wsi, miast i powiatów osobami od których oczekuje się rozwiązania różnego rodzaju problemów.

Jesteś teraz radnym rady powiatu, czy przysłowiowy punkt siedzenia, zmienił Twój punkt widzenia pewnych spraw?

Kiedy jest się radnym, jest się bliżej wszystkich kwestii decyzyjnych. Widać dokładnie jak wygląda budżet. Wójt, czy burmistrz nie decyduje o wszystkim sam. Będąc radnym a równocześnie dziennikarzem próbuję równoważyć te sprawy. Widzę zarówno problemy jak i społeczne oczekiwania. Staram się być pośrodku i rzetelnie rozpatrywać wszystkie „za” i „przeciw”. Ważne jest posiadania wiedzy, aby móc wszystko oceniać obiektywnie, bez uprzedzeń i emocji.

Czy „Głos Ostródy” był jedynym pismem z którym współpracowałeś?

Tam byłem redaktorem naczelnym. Wcześniej był „Tygodnik Ostródzki” (1994). Ukazało się trzynaście numerów i pismo skończyło żywot ze względów finansowych. Potem byłem redaktorem „Ostródzkiego Kwartalnika Literackiego” (1998-1999) oraz założycielem i redaktorem naczelnym pisma parafialnego „Ze wzgórze św. Franciszka z Asyżu”, które zaprowadziło mnie do ogólnopolskiego Stowarzyszenia Prasy Parafialnej. Trudno jest wymieniać wszystkie redakcje, ale trochę ich było.

Jesteś także skarbnikiem naszego Oddziału SDP, jak się czujesz w nowej roli?

Muszę powiedzieć, że kiedy zostałem członkiem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, byłem bardzo szczęśliwy, bo znalazłem miejsce do „ładowania akumulatorów”. Zawsze z przyjemnością uczestniczę we wszystkich spotkaniach i nigdy nie wiązałem członkostwa w Stowarzyszeniu z pełnieniem jakichkolwiek funkcji. Myślę, że z pomocą Zarządu dam sobie radę.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał ANDRZEJ ZB. BRZOZOWSKI

O byłych esbekach, gangsterach i dziennikarstwie śledczym w gazetach lokalnych

Z Wojciechem Sumlińskim rozmawia Błażej Torkański.

Błażej Torkański: W Białej Podlaskiej żyją jeszcze byli esbecy?

Wojciech Sumliński: O, tak. Mają się bardzo dobrze. Są właścicielami wielu nieruchomości. Poustawiali się dobrze w nowej rzeczywistości.

Tworzą układ zamknięty?

W pewnym sensie tak. Jeden z nich do niedawna był właścicielem budynku dzierżawionego przez sąd.

Oj, ciekawe.

Rzecz kuriozalna, bo sąd sędzi go, w jego budynku, za grube przekręty. Proces trwa. Życie dopisze puentę.

I nie wystraszyli się Pana, pogromcy esbeków, nie uciekli, jak w sierpniu 2010 roku został Pan zastępcą redaktora naczelnego „Tygodnika Podlaskiego”?

Nie. Głowy nadal nosili wysoko. Na przykład jako pierwszy napisałem, że wójt Terespoli współpracował z SB. Potwierdził to IPN i sąd pierwszej instancji. Sąd drugiej instancji odrzucił wszystkie materiały, także IPN. Uznał, że nie ma jednoznacznych dowodów, więc nadal może pełnić misję publiczną. Byli esbecy czują się tutaj dość mocno, są w silnych układach i mój powrót na Podlasie w roli dziennikarza nie wywołał u nich żadnej traumy.

Ale przecież, jako dziennikarz śledczy, radził Pan sobie z najbardziej znanymi politykami, opisywał ich powiązania z gangsterami i służbami specjalnymi.

Wróciłem z dziennikarstwa ogólnopolskiego do lokalnego. Zaczynałem w latach 90. jako dziennikarz śledczy i redaktor naczelny „Słowa Podlasia”, skąd trafiłem do „Życia” i innych mediów. Wtedy powstawały imperia, ale przez te kilkanaście lat rzeczywistość w Białej Podlaskiej zmieniła się. Z czasem byli esbecy stali się biznesmenami, zalegalizowali swoje lewe interesy i drwią ze struktur państwa. Ich fortuny powstawały na nielegalnym przemyśle np. alkoholu z Białorusi. Kiedy tiry przekroczyły granicę po polskiej stronie nie było ani celników, ani funkcjonariuszy straży granicznej. Po moim artykule przeprowadzono kontrolę. Z dokumentów białoruskich wynikało, że tiry wyjechały, ale w polskich nie było śladu. Chyba nie wpadły do Bugu? Takie przypadki były każdego dnia. Innym razem na przemyśle Wietnamczyków przyłapano grupę, którą dowodził Piotr B., były funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa. Na każdym Wietnamczyku – których przez



granicę, jak przez sito, przejeżdżało tysiące – zarabiali po kilka tysięcy dolarów. Sprawa trafiła do prokurator Urszuli Ś., która szybko ją umorzyła. Dostałem informację, że prywatnie jest przyjaciółką szefa gangu Piotra B. W prokuraturze przesłuchiwała go jako podejrzanego o popełnienie przestępstwa, a po pracy oddzielnie dojeżdżali do wspólnego mieszkania. Jak to opisałem, sprawą zajęła się Komenda Główna Policji. Prokurator sąd skazał na dwa lata bezwzględnej więzienia. Takich i podobnych przestępstw można było dokonywać w dużej mierze dzięki powiązaniom z PRL-u.

Jak Pan ich odnalazł po kilkunastu latach, po powrocie na Podlasie?

Doskonale prosperują. Moje publikacje ukróciły im działalność na różnych poziomach, ale odbudowali się, niczym hydra.

Wykorzystał Pan szansę na remake, odnalazł tych ludzi, pokazał, co teraz robią?

Cztery lata temu trafiłem do „Tygodnika Podlaskiego” o odchyleniu konserwatywno-prawicowym który, jako jedyny, nie chciał służyć władzy.

Jako jedyny? Inne media na Podlasiu służą władzy?

Bardzo mocno. Nie wszystko jestem w stanie udowodnić, a mam zwyczaj mówienia tylko to, co mógłbym dowieść przed sądem. Znam przypadek biznesmenów silnie powiązanych z lokalnymi mediami, którzy wykupili tanio grunty obciążone pieczęcią konserwatora zabytków. Zaraz po transakcji Rada Miejska w Białej Podlaskiej

przekształciła je na tereny inwestycyjne. Wartość gruntów wzrosła kilkadziesiąt razy.

Lokalne media tego nie opisały?

„Tygodnik Podlaski” jako jedyny podjął ten temat. Gazeta szła pod prąd układom i dlatego była całkowicie odcięta od reklam.

Ale największą siłą gazety jest czytelnik.

Dlaczego nie udało się Panu zbudować silnej, niezależnej gazety powiatowej?

W 2010 roku „Tygodnik Podlaski” był zadłużony, w agonii. Przejąłem go, kiedy miał niespełna dwa tysiące czytelników. Przez rok udało nam się podnieść sprzedaż do bez mała pięciu tysięcy. Wydobyliśmy się z dna i szli do góry. Reklamy jednak nie przychodziły, a każdy, kto prowadzi ten biznes wie, że jedna reklama, którą można sprzedać za kilka tysięcy złotych, to tysiąc czytelników. Wtedy w Białej Podlaskiej pojawił się prezes SKOK, który kandydował na senatora.

Grzegorz Bierecki. Odkupił „Tygodnik Podlaski”.

Miał inną filozofię gazety. Chciał, aby masowo trafiła pod strzechy.

Dlatego przekształciliście w 2011 roku gazetę z „czytelnikowskiej” na bezpłatną.

Na to trzeba mieć pieniądze. Grzegorz Bierecki je miał. „Tygodnik Podlaski” zaczął wychodzić w nakładzie 30 tysięcy egzemplarzy.

Czy to była trafna decyzja, skoro mieliście świetny wynik sprzedaży?

Sprzedaż rosła, ale poprzedni właściciele jechali na oparach paliwa. Rozważali

zamknięcie gazety, bo nie przynosiła zysków, reklam było za mało. Grzegorz Bierecki uratował tytuł. Teraz „Tygodnik Podlaski” jest gazetą informacyjną, rodzinną, przyjazną. Konserwatywną i prawicową. Dziennikarstwo śledcze nie odgrywa w niej już takiej roli.

Zdążył Pan rozmontować jakiś lokalny układ?

Udało mi się odkryć skrywane oblicza niektórych ludzi władzy. Ukrócić pewne działania przestępczych układów, głównie polityków PSL, bo Lubelszczyzna jest ich matczykiem. Wójtowie ludowej zasiadają na swych fotelach od ponad dwudziestu lat. Podobnie, jak Franciszek Jerzy Stefaniuk, który jest posłem od Sejmu kontraktowego. W moim odczuciu nie robi wiele, za to dużo jeździ po świecie.

Media lokalne są zblatowane z władzą?

Totalnie.

Jakie konkretnie przekrety opisywaliście w „Tygodniku Podlaskim”?

Dwa lata przed kontrolą CBA opisaliśmy m. in. Agencję Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa w Lublinie. Działacze PSL traktowali ją jak folwark. Zatrudniali całe rodziny. Ujawnialiśmy, kto, na jakim stanowisku, za jakie pieniądze, że nic nie robią. Wiele było artykułów o ustawionych przetargach. Czytelnicy zauważyli, że nigdzie indziej nie poruszane są takie tematy. Byli zaskoczeni, że osoby publiczne, które przez lata budowały swe wizerunki, jako szlachetne, godne, krystalicznie czyste, w istocie oszukują społeczności lokalne, okradają je. Pokazywaliśmy patologię władzy.

Jaka jest specyfika dziennikarstwa śledczego w mediach lokalnych?

To jest zupełnie inny poziom zagadnień. W mediach ogólnopolskich opisywałem służby specjalne, przestępczość zorganizowaną czy patologię na najwyższych szczeblach władzy. Czytelnicy gazet lokalnych owszem, interesują się aferą podsłuchową, ale żyją własnymi problemami na zasadzie „koszuli bliższej ciała”. Gazeta powiatowa nie powinna się ścierać z mediami ogólnopolskimi o tematy, które magnetyzują cały kraj. Powinna żyć tymi sprawami, co czytelnicy. Pisać więc o tym, dlaczego wójt zatrudnia rodzinę, a lokalny polityk jest w trzech radach nadzorczych.

W ubiegłym roku odszedł Pan z „Tygodnika Podlaskiego”. Porzuca Pan dziennikarstwo?

Do końca 2014 planuję odejść z zawodu, bo chciałem pisać nie jedną książkę na dwa lata, a dwie w ciągu roku. Miło mnie zaskoczyło, że moje książki *Z mocy bezprawia* i *Z mocy nadziei*, przemilczane w mediach, sprzedają się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy i co miesiąc schodzi kolejne kilkadziesiąt sztuk. To rzadkie zjawisko, bo na polskim rynku książki żyją krótko, kilka miesięcy. *Z mocy bezprawia* żyje już trzy lata, a *Z mocy nadziei* sprzedaje się równie dobrze. Współpracuję jeszcze z Radiem WNET i z „Głosem Katolickim”, ale chcę spróbować zostać pisarzem. Tu widzę swoją przyszłość.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał BŁAŻEJ TORAŃSKI
www.sdp.pl

Świat na opak

Nic już nie będzie tak jak dawniej. Wcześniej afery Snowdena, a teraz afery podsłuchowa pokazują, że świat jest totalnie zinwigilowany. Niestety, w takim świecie żyjemy. Ale, czy musimy się na to godzić?

Eryk Mistewicz w felietonie opublikowanym w „Do Rzeczy” pisze, że po zachłystnięciu się technologią, szybkością i dostępnością nowych mediów wracamy do papierowych listów dyplomatycznych, rozmów w cztery oczy, i zaczynamy od początku, od człowieka.

Brzmi to tak, jak byśmy wracali do natury, ale w wieku cyfryzacji powrotu do stanu pierwotnego nie ma. A jeśli nawet w jakimś sensie jest, to wracamy raczej do stanu znanego z doktryny społecznej Tomasza Hobbesa bezwzględnej, dzikiej walki wszystkich ze wszystkimi, niż do naturalnej dobroci, opisywanej przez Jana Jakuba Rousseau.

Warto poczytać książkę dziennikarza brytyjskiego „Guardiana” Glenna Greenwalda, zatytułowaną *Snowden*. Nigdzie się nie ukryjesz, żeby przekonać się, jak daleko zaszliśmy w inwigilowaniu społeczeństwa. Straciliśmy prywatność jak niegdyś niewinność, jesteśmy monitorowani na okrągło, i nie sposób się ukryć przed powszechnym podglądaniem nas przez media, służby, czy innych ludzi wyposażonych w doskonałe instrumenty podsłuchowe, ukryte kamery i mikrofony. Dziś każdy może być „dziennikarzem” na nadmorskiej plaży i okiem dalekosiężnego obiektywu fotograficznego celować w każdego plażowicza oddalonego choćby i o kilka kilometrów.

Greenwald pisze, iż rozwój technologii umożliwił realizację takiej inwigilacji, która dotąd istniała tylko w wyobraźni autorów powieści *science-fiction*. I nic nie pomoże wkładanie telefonów komórkowych do zamrażalnika, bo urządzenie podsłuchowe czy kamera może znajdować się choćby w okularach, które nosimy na własnym nosie, tak jak urządzenie podsłuchujące eksperta od podsłuchów w filmie „Rozmowa” F. F. Coppoli zainstalowane było w jego saksofonie. Ciekawe jest samo podejście Snowdena do problemu powszechnej inwigilacji, o której dowiedzieliśmy się z jego przecieków o systemie PRISM. Snowden liczył na to, że szok jaki wywoła ujawnienie tego faktu zapewni wsparcie potrzebne do budowy sprawiedliwszego Internetu.

To było optymistyczne założenie, jednak realia są takie, że inwigilacja trwa nadal, a nawet zatacza coraz szersze kręgi, czego dowodem są nagrania ujawnione przez „Wprost” w polskiej aferze podsłuchowej. Trzeba się raczej pogodzić z tym, że będziemy stale szpiegowani w Internecie, że będziemy podsłuchiwać przez służby, detektywów, żony, mężów, sąsiadów, kolegów, itd. Przy-

kładem może być rozmowa nagrana przez Piotra Nisztorę, kiedy dziennikarz słucha i jednocześnie „podsłuchuje” swojego kolegę (byłego przyjaciela?). Przyznam, że kiedy się o tym dowiedziałem, to poczułem się nieswojo, bo sam wcześniej miałem wrażenie, że moje prywatne wypowiedzi nagrywał pewien zapobiegliwy kolega bez mojej zgody. Jeśli ta tendencja (nagrywanie każdego, bo to się może kiedyś przydać) będzie się rozwijać, to grozi nam, że rozmówcy zaczną unikać dziennikarzy.

Nagrywanie wszystkich przez wszystkich stanie się nową formą życia społecznego, w którym nieufność odgrywać będzie zasadniczą rolę. Tylko, czy takie społeczeństwo przetrwa? Na wzajemnej nieufności ludzi do siebie budowała swe imperia władza totalitarna, ale – jak pokazuje historia – one też upadły. Jeśli zamienimy się w cyfrowe cyborgi, szyfrujące swoje e-maile protokołami kryptograficznymi, jeśli będziemy ukrywać swoją tożsamość, by nie być rozpoznawalnymi w sieci (co jest już powszechną regułą), to w jaki sposób będziemy prowadzić debatę publiczną? Oczywiście, nie będzie to możliwe. Paradoksalnie rozwój najbardziej demokratycznego ze wszystkich dotychczasowych środków porozumiewania się ludzi ze sobą może zamienić się w najbardziej opresyjne narzędzie przemocy komunikacyjnej.

Afera PRISM pokazała, że służby wywiadowcze (ale nie tylko one, bo i wszelkie instytucje rządowe, organizacje, firmy handlowe itp.) mogą mieć o nas wszelkie dane, czyli treść naszych esemesów i e-maili, zapisy czatów i wszelkich lajków, itd. Każdym kliknięciem w sieci zdradzamy nasze lokalizacje i poglądy. Afera podsłuchowa pokazała, że podsłuchują nie tylko służby obywateli, ale też obywatele zaczęli podsłuchiwać służby. Role się odwróciły. Demokracja zatoczyła koło i zaczyna przypominać totalitaryzm. Trudno mi więc zgodzić się z Erykiem Mistewiczem, że w naszej nieograniczonej fascynacji technologią opamiętaliśmy się i zaczynamy mądrzej, bo od człowieka. Wydaje się, że powrót do tak zwanego człowieczeństwa musiałby być ucieczką od Internetu, a na to w dobie rozwiniętych technologii może już być za późno.

Co nas więc czeka? Albo zgodzimy się na powszechne szpiegowanie, albo wycofamy do symbolicznego lasu, i podobnie jak bohaterowie filmu „Fahrenheit 451” zaczniemy uczyć się od nowa starych metod zapamiętywania i codziennej dwustronnej pozainternetowej komunikacji, opartej na wzajemnym zaufaniu. Jeśli tego nie uczynimy, to powróci stara teoria Hobbesa w nowej szacie: dawna forma walki wszystkich ze wszystkimi przyjmie kształt powszechnej, wielostronnej inwigilacji.

MAREK PALCZEWSKI
7 sierpnia 2014

Piórem Jana Rosłana

Marzenia o jedności

Najście prokuratorów, agentów ABW i policjantów na redakcję „Wprost” na chwilę zmobilizowało polskich dziennikarzy, którzy jak nigdy, transmitując całą akcję w kilku kanałach telewizyjnych, byli w komentarzach zgodni: to skandaliczne działanie władzy, pogwałcenie europejskich standardów, naruszenie prawa do zachowania dziennikarskiej tajemnicy...

Redaktor naczelny miesięcznika „Press” Andrzej Skworz w radiu TOK FM powiedział: „Zobaczyłem, że dziennikarze w chwili próby potrafią być razem”. To zjednoczenie nazwał nawet jedynym cudem, jaki uczyniła ekipa Donalda Tuska. Andrzej Skworz wydał potem oświadczenie, gdzie stwierdził optymistycznie, że gdyby zaszła taka konieczność, to „całe środowisko dziennikarskie stanie po stronie inwigilowanych kolegów”, bo „władza, która wykorzystuje tajne służby do walki nie z patologiami, lecz dziennikarzami bliższa jest wschodnim satrapom niż standardom w Unii Europejskiej. Dlatego apeluję do Koleżanek i Kolegów, by nie znaleźli się wśród nas tacy, którzy uznają, że wydawca »Wprost« i jego redaktor naczelny sami prosili się o kłopoty. Nie ludźmy się, że władza która raz weszła do redakcji już nigdy więcej tego nie uczyni”.

We wstępniku do lipcowego „Press” Skworz stwierdził: „Jakże byłem naiwny”. Bo przecież od razu znaleźli się dziennikarze pochwalający akcję prokuratorów i ABW, mimo że skrytykował ją sam minister sprawiedliwości, a prezydium Naczelnej Rady Adwokackiej w specjalnym oświadczeniu wyraziło solidarność ze środowiskiem dziennikarskim.

Wydarzeniem na skalę niespotykaną (zauważymy przez media zagraniczne) było wystąpienie Moniki Olejnik na konferencji prasowej Donalda Tuska, gdzie powiedziała: „Jestem zaskoczona, że nie zdymisjonował pan ministra Sienkiewicza. Wczorajsza sytuacja była kompromitująca. Człowiek, który jest świadkiem we własnej sprawie, wczoraj był przesłuchiwany w prokuraturze, prowadzi śledztwo. Całe środowisko dziennikarskie jest przeciwko panu. Przykro mi”. Zdumiony tą wypowiedzią premier po chwili tylko stwierdził: „Tak, zauważyłem”.

Ale nie całe środowisko było przeciwko premierowi i działaniom prokuratury wobec redakcji „Wprost”. Oto już po chwili wystąpili znani

z popierania wszelkich rządowych inicjatyw dziennikarze, którzy skrytykowali Monikę Olejnik i pochwalili premiera. Była to Ewa Milewicz z „Gazety Wyborczej”, w której tygodniowe felietony zamieszcza Olejnik, Jacek Żakowski i Janina Paradowska. Potem doszli inni dziennikarze z dwóch rywalizujących z „Wprost” tygodników, czyli z „Polityki” i „Newsweek”.

Powstał nawet protest środowiska dziennikarskiego przeciwko działaniom prokuratury wobec redakcji „Wprost” pod którym podpisali się także niektórzy dziennikarze „Gazety Wyborczej” jak i „Gazety Polskiej”, czyli o pewnej jedności dziennikarskiej i solidarności można mówić, ale jednocześnie Andrzej Morozowski w wywiadzie w „Super Expressie” z 7 lipca powiedział: „Od dzisiaj określenie »dziennikarz« w kontekście Piotra Nisztora używam w cudzysłowie. Jeżeli ja jestem dziennikarzem, to nie chcę być w tej samej grupie zawodowej, co on”.

Pamiętam, jak Seweryn Blumsztajn z „Gazety Wyborczej” oburzony pewnymi oświadczeniami SDP sam założył własny związek. Teraz wypowiedział się przeciwko „Wprost” uznając publikację taśm nie tylko za „łamanie standardów dziennikarskich, ale i obywatelskich”. Akcję najazdu służb na redakcję poparł też Adam Szostkiewicz, a podsłuchiwanymi ministrów w obronę wziął ks. Adam Boniecki. Do koalicji potępienia redakcji i poparcia działań policji dołączył Wojciech Maziarski i Stefan Bratkowski. „I gdy dziś Stefan Bratkowski i Seweryn Blumsztajn pouczają, że dziennikarz nie ma prawa wykorzystać swojego źródła informacji jeśli opiera się na przestępstwie – dziennikarze pytają: »A jak to było z afera Rywina? Owszem, Michnik sam nagrał, ale dlaczego dowód przestępstwa kisil pół roku w swoim biurku?«” – napisało troje dziennikarzy w lipcowym „Press”.

Od siebie dodam, że Blumsztajn i Bratkowski bardzo się mylą. Oto 1 lipca br. zapadło ważne orzeczenie Europejskiego Trybunału

Praw Człowieka. Oto oskarżono szwajcarskiego dziennikarza, że opublikował niejawne informacje pochodzące z akt sprawy przeciwko sprawcy wypadku, w którym zginęły trzy osoby. Sąd uznał, że nie ma znaczenia skąd pochodziły informacje, które uzyskał dziennikarz, jeśli dotyczą one ważnych spraw publicznych, ma prawo je opublikować. Nie wolno tym samym naruszać wolności dziennikarskiej wypowiedzi odnosząc się do metod zdobywania informacji. Stefan Bratkowski jak i Seweryn Blumsztajn dziś opowiadają się za ograniczeniem dziennikarskiej wolności słowa. Smutne to bardzo.

Skarcona przez dziennikarski mainstream Monika Olejnik szybko powróciła na właściwy kurs i w „Gazecie Wyborczej” zaatakowała Sylwestra Latkowskiego, redaktora naczelnego „Wprost”. I tak powróciła na dziennikarskie salony, gdzie obowiązuje linia programowa wytyczona przez biuro prasowe rządu. Dziennikarze mają być jego rzecznikami. I niektórzy znakomicie tę funkcję wypełniają.

Chyba nic już nie przywróci dziennikarskiej jedności i solidarności w naszym kraju. Dziennikarze reprezentują określone interesy partyjne, ideologiczne a czasem i gospodarcze. Jakaś solidarność zawodowa może jeszcze i istnieć, ale jest niestety głęboko skrywana. Bo ileż mamy dziennikarskich organizacji? Jest SDP i SD RP, jest Katolickie Stowarzyszenie Dziennikarzy, a kiedyś istniało (i może trwa nadal) Stowarzyszenie Dziennikarzy Warmii i Mazur założone przez pracowników „Gazety Olsztyńskiej”. Tylko w socjalizmie istniała jedna organizacja zawodowo-twórcza SDP, do której przynależność wiązała się z pewnymi przywilejami. Dziś żadnych przywilejów już nie ma. Dziś mamy wielość i różnorodność, wolny rynek idei, przekonań i mediów. Choć tak naprawdę, nie tak bardzo wolny, jak się niektórym wydaje. Przykład „Wprost” najlepiej to ukazuje.

JAN ROSŁAN

SDP

Najnowsze informacje, rozmowy dnia, felietony,
opinie, analizy, blogi dziennikarzy...
na stronie internetowej Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich
www.sdp.pl
z a p r a s z a m y

Zupełnie „bez”

To „bez” wymyślono sprytnie. W samym tytule jest jednoznacznie, że pisać w tymże periodyku świadomie czyni się „bez wierszówki”, czyli za darmo, bez pieniędzy. No i w ten sposób wszystko jest jasne. Ale pracować dla idei – jeśli ta jest akceptowana – też można. Tym bardziej jeśli periodyk uważają czytelnicy i autorzy za wartościowy.

Wróćmy jednak do tego skromniutki-go słowa „bez”. Krótkie bo krótkie, ale jakże często używane. I dlatego tak zupełnie „bez” – to się nie da. O ile latem można np. na plaży paradować prawie „bez” majtek, to już na zebraniach nie uchodzi gadanie „bez” sensu. Bezpłciowo to już nie znaczy dziś to samo co kiedyś, ale lepiej by było gdyby bezpłatowo... nie było. Na pewno – i to bardzo ważne – żyć i w ogóle postępować „bez” honoru nie należy. Choć niestety często tak się dzieje.

Bezapelacyjnie i bezwzględnie, bez ustanku i bez pardonu – trzeba po prostu działać. Właśnie aby nie stało się to działanie bezowocne i bezskuteczne.

Przejdźmy więc wreszcie bez ogródek do rzeczy.

Jak ustosunkować się do tych, którzy niszczą kraj i rodzinę. Do tych, którzy kpią z patriotyzmu, szydzą z domagających się prawdziwego śledztwa w smoleńskiej sprawie, występują przeciw prawom rodzicielskim nie zważając na dobro dziecka.

Głupcy i tchórze piszą dziś pod dyktando cynicznych beneficjentów robotniczej rewolucji, która doprowadziła do pozornej utraty władzy, ale w nagrodę przyniosła nielicznym uwłaszczenie. Setki tysięcy zostało bez pracy, a nawet bez szansy na jej znalezienie. W tej beznadziejnej sytuacji ludzie musieli emigrować za chlebem. Wywieźli z kraju zdobytą za polskie pieniądze wiedzę. Musieli się pogodzić – by przeżyć – na pracę przy zlewozmywaku. Nawet ludzie z wyższym wykształceniem stali się zwykłymi wyrobnikami. Dano im łaskawie zasiłek. Pieniądze są niezbędne do przeżycia. A godność?

Upodlenie naszych obywateli to koszmarny plan niszczenia społeczeństwa. Teraz wreszcie dociera do wielu ludzi, że zlikwidowany krajowy przemysł, zagrabiony handel, wyeliminowanie polskich produktów poprzez zalew towarów obcych – to największa w naszych dziejach katastrofa, droga donikąd, to bezprzykładne niszczenie własnego kraju własnymi rękami.

Bez zasadniczych zmian już się nie obejdzie. Krzyczymy więc jest czas na zmiany.

Bandytyzm z zestrzeleniem malezyjskiego samolotu niech będzie ostatecznym sygnałem. To jest zbrodnia bez precedensu. Tak samo jak smoleńska. Chore państwo – bo chore idee. Kiedyś radzono w dowcipie: „Sojalizm – tak, ale po eksperymencie na szczurach”. Teraz tu na Wisłę domorośli mądrale wyprzedzili nawet oczekiwania Międzynarodowego Funduszu Narodowego: wymyślili plan likwidujący z dnia na dzień państwową własność produkcji, wymyślili wolny rynek bez kapitału. Ci „zbawcy” pochowali się teraz po kątach. Chcą uniknąć odpowiedzialności. Za chwilę masowo doznawać będą chorób i uszczerbków na zdrowiu – goleń, bark etc.

Ale świat jest już bardzo mały i nie da się ukryć w peruwiańskiej dżungli ani na wyspie Oceanu Spokojnego. Skończą się raje podatkowe, kłamstwa bezwstydnego propagandy, hucpa i pogarda dla oszukanych ludzi. Obiecano im *amber* i *gold*. Okradziono. Co im z tego, że rzekomo jedyny winny siedzi teraz zamiast w swoim czterystumetrowym mieszkaniu nad Motławą w śmierdzącej celi. A jego mocodawcy nie wiedzą co zrobić dalej z całym tym paszтетem.

Lawina już ruszyła. Pognałaby zbroczem gdyby nie to, że społeczeństwo zostało mocno zatimizowane. Nie ma już wielkoprzemysłowej klasy i tłumów gniewnych ludzi. Są tylko jeszcze na południu kraju zorganizowani górnicy, a na północy rybacy. Jednym zasypuje się kopalnie, drugim niszczy zasoby rybne.

Bez prawdziwego buntu się nie obejdzie. Na parlamentarne dziadostwo nie ma co liczyć. Mała jest wiara w „Solidarność”, która straciła odwagę. A przecież „bez serc, bez ducha – to szkieletów ludy”.

Bez wierszówki można przeżyć. Bez pracy się nie da!

STEFAN TRUSZCZYŃSKI

31 lipca 2014



W ostatnim wydaniu „Bez Wierszówki” red. Stefan Truszczyński zadał zagadkę... gdzie sławny polski rzeźbiarz pan Andrzej Renes wybrał sobie miejsce na drugi dom i pracownię? Oczywiście Nowe Guty! Czytelnicy „Bez Wierszówki” wiedzą. Nagroda powędrowała do pierwszej osoby, która odpowiedziała prawidłowo... pani Marii Matczuk z Olsztyna. Gratulujemy!

ISB



Trakt Biskupi w Bałdach

A. D. 2014

Jak wiadomo, Polacy mają głębokie wyczuwanie historyczne*. Wspominanie historii to nie przejaw nostalgii, ale żywa pamięć, potrzebna również na współczesnych drogach, które dziś przemierzamy. Starożytni Rzymianie, jak zwykle niezwykle praktyczni i konkretni, wyrażali tę prawdę dwoma słowami: *historia docet* – „historia uczy”. Innymi słowy: patrzmy wstecz po to, aby dobrze iść do przodu.

Jednym ze współczesnych przykładów takiego traktowania historii przez Polaków jest Jan Paweł II, dziś już święty, który często wychodził od historii w swoich przemówieniach, homiliach, modlitwach. Odnosił się do wydarzeń z przeszłości i analizował chwilę obecną, aby rozeznać, jaki kierunek wskazuje nam dziś Duch Święty.

Butryny

W tej parafii, w Butrynach, witano każdego nowego biskupa Warmii, przyjeżdżającego do stolicy swojej diecezji. Nowo mianowani biskupi podążali pradawnym traktem warszawskim, biegnącym przez Bałdy. Na polach pod Bałdami powstał Trakt Biskupi

z tablicami informacyjnymi, poświęconymi 51 dotychczasowym biskupom warmińskim.

Szlak Biskupi, który dziś wzbogaci się o nowe głazy, został mądrze odrestaurowany kilka lat temu przez miłośników lokalnych tradycji o zmyśle dokumentalnym, historycznym i turystycznym, ale też jako zabytek chrześcijańskiej historii tej wspólnoty chrześcijańskiej, katolickiej tych ziem i ich mieszkańców, którzy potrafili patrzeć do przodu, którzy są otwarci na powiewy Ducha Świętego i – działając z Jego łagodnością – otwierają nowe drogi.

Biskupi warmińscy

W życiu i działalności biskupów warmińskich ogniskuje się znacząca część historii

społecznej tych ziem. Dziś szczególnie wspominamy czterech z nich.

Biskup Henryk Fleming zasiedlał północne tereny diecezji oraz zainicjował budowę katedry we Fromborku.

Biskup Eberhard z Nysy, określany jako rządcą bardzo roztropny i zapobiegliwy, kontynuował akcję zasiedlania środkowej Warmii i był założycielem miast: Lidzbark Warmiński, Frombork, Pieniężno, Orneta i Dobre Miasto.

Biskup Teodor Potocki, późniejszy Prymas Polski, między innymi uporządkował sprawy gospodarcze diecezji i przeprowadził synod diecezjalny.

I w końcu kardynał Eneaszy Sylwiusz Piccolomini, choć był Włochem, został wybrany przez Warmińską Kapitułę Katedralną na biskupa warmińskiego. Był biskupem warmińskim tylko rok, gdyż został wybrany papieżem i przyjął imię Piusa II. Znane jest jego powiedzenie z chwili wyboru na papieża: „Zapomnijcie o Eneaszy, przyjmijcie Piusa”. Był świadomy swojej przeszłości. W młodości był człowiekiem swoich czasów, korzystającym z uroków życia, nieprzykładającym wielkiej wagi do moralności i wyrazistości w działalności politycznej,

Głaz poświęcony bp. Eberhardowi z Nysy odsłaniają Herbert Monkowski i abp Celestino Migliore FOT. © WACŁAW BRUDEK

którą prowadził jeszcze jako człowiek świecki. Jako głowa Kościoła był umiętny i przenikliwy. Papież Pius II był typem naukowca i publicysty, który umiał korzystać z siły swojego intelektu; wyprzedzał swoje czasy, wiedząc, że to jednak pióro i słowo muszą być silniejsze niż szpada i muszą sprawić, że szpada wyjdzie z użycia.

W życiu i działalności biskupów warmińskich widać jak w soczewce przede wszystkim drogę wiary, miłości i nadziei tutejszej wspólnoty chrześcijańskiej, ale także można zobaczyć, jak ewoluował sposób bycia biskupem.

Biskup – pasterz

Słowo „biskup” ma podobne znaczenie jak słowo „pasterz”; oba te terminy są zamiennie. Jest to bowiem zadanie pasterza; z tym zadaniem zawsze utożsamia się sam Chrystus. Pasterz to ten, który strzeże owce i prowadzi je na pastwiska; on szczególnie troską otacza owce słabe i biegnie na poszukiwanie tych, które się zagubiły. To właśnie znaczy, gdy mówimy, że biskup ma prowadzić, kierować, zachowywać integralność owczarni, stawać się wzorem dla niej. „Dlatego – jak pisze papież Franciszek w adhortacji apostołskiej *Evangelii gaudium* – niekiedy stanie z przodu, aby wskazywać drogę i podtrzymywać nadzieję ludu, innym razem zwyczajnie stanie pośród wszystkich ze swą prostotą i miłosierną bliskością, a w pewnych okolicznościach powinien iść za ludem, aby pomóc tym, którzy zostali z tyłu, a przede wszystkim dlatego, że sama owczarnia ma swój węch, aby rozpoznać nowe drogi”.

Księga Apokalipsy, odwołując się do praktyki życia pierwszych wspólnot chrześcijańskich, biskupów nazywa nie tylko „pasterzami”, ale też



Uczestnicy Kiermasu Warmińskiego na Trakcie Biskupim w Bałdach FOT. © WACŁAW BRUDEK

„aniołami”, którzy strzegą, nauczają i prowadzą wspólnotę wiernych, powierzoną ich pieczy. Anioł przebywa w obliczu Boga i w takiej mierze, w jakiej utrzymuje swój bliski związek z Bogiem, jest Jego posłańcem, przynosi Boga ludziom. Tak jak aniołowie wstawiają się za Kościołem, tak biskupi proszą za swój lud i jednocześnie pukają w imieniu Chrystusa do ludzkich serc, pomagając im znaleźć radość w darze wiary.

Tradycja i praktyka życia chrześcijańskiego rozwinęła też trzeci tytuł biskupa: „oblubieniec”. Biskup jest pasterzem, aniołem i oblubieńcem. Metafora biskupa-oblubieńca wskazuje na związek, jaki istnieje między biskupem a Kościołem lokalnym, który został mu powierzony.

Szlak biskupi

Inicjatywa Traktu Biskupiego jest charakterystyczna dla tej właśnie archidiecezji i warto ją kultywować, popierać i wydobywać z niej cały jej walor edukacyjny, formacyjny, katechetyczny.

Pamięć o biskupach, którzy budowali, przewodzili i utwierdzali wspólnotę wierzących na Warmii musi być pamięcią ukierunkowaną

na przyszłość. Winna ukazywać ten model Kościoła misyjnego, który każdego dnia przybliża nam papież Franciszek. Także w swoim przesłaniu na dzisiaj uroczystości, skierowanym do arcybiskupa Wojciecha, Ojciec Święty życzy, „stałej wierności Chrystusowi i miłości do Jego Kościoła”, aby w ten sposób znajdować w sobie pragnienie dążenia do wyższych wymiarów życia chrześcijańskiego i odważnego głoszenia Ewangelii.

Ewangelizacja, katecheza, solidarność z wszystkimi, niezależnie od ich przynależności wyznaniowej, powinny być zasadniczymi zadaniami Kościoła. Bo dziś wiara w Chrystusa nie jest już etykietą, którą oznacza się daną społeczność, ale wymaga ona osobistego zaangażowania, przekonania i przyjęcia.

Kościół na Warmii, ubogacony wielkim dziedzictwem duchowym, moralnym, społecznym i intelektualnym swoich pięćdziesięciu jeden biskupów dziś wspominanych, może ze spokojem i odwagą patrzeć w przyszłość.

Na pewno będziecie dalej ten „szlak biskupi” ubogacać i upiększać nowymi wyrazami sztuki i być może też atrakcjami turystycznymi. A jednocześnie najlepszym pomnikiem, jaki możecie postawić – i to tego jesteście wezwani – jest odnowione i radosne życie chrześcijańskie, które pozwoli wam zachować nieskażone dziedzictwo wiary i przyczynić się do ewangelizacji tego kraju i europejskiego kontynentu.

CELESTINO MIGLIORE

* Wypowiedź Nuncjusza Apostolskiego w Polsce do uczestników „Kiermasu Tradycji, Dialogu, Zabawy” 5 lipca w kościele w Butrynach; tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.

Abp Celestino Migliore dziękuje pani Urszuli Belzie za fundację głazu poświęconego bp. Teodorowi Potockiemu FOT. © WACŁAW BRUDEK



Zapomniana rocznica zbrodni

Siedemdziesiątą rocznicę drugiej fazy ludobójstwa dokonanego na Polakach i obywatelach polskich innej narodowości przez ukraińskich nacjonalistów będą obchodzić tylko rodziny ofiar. Politycy nie chcą o tej zbrodni pamiętać

Rok 1944 był czasem obfitującym w wydarzenia mające przełomowe znaczenie dla losów Europy. W maju tegoż roku przelamana została niemiecka Linia Gustawa we Włoszech. Z kolei 6 czerwca alianci wylądowali w Normandii, otwierając drugi front, a 22 czerwca Armia Czerwona rozpoczęła operację „Bagration” gromiąc całkowicie niemiecką Grupę Armii „Środek”. W wyniku tych działań spod okupacji hitlerowskiej na zachodzie kontynentu wyzwolone zostały między innymi Rzym, Paryż i Bruksela, a na wschodzie Bukareszt, Mińsk, Lwów i Wilno (dwa ostatnie miasta przy udziale AK). Pomimo bohaterskiego zrywu niepodległościowego wolności nie doczekała się niestety Warszawa, która wobec postawy Stalina legła w gruzach.

Nic więc dziwnego, że w 2014 roku, w 70. rocznicę tych wydarzeń, Europa jak długa i szeroka czci te wydarzenia, organizując różne przedsięwzięcia, w tym wystawy, rekonstrukcje i sesje naukowe. Przez Polaków upamiętnione zostały rocznice zdobycia Monte Cassino, rozpoczęcia akcji „Burza” i wybuchu Powstania Warszawskiego oraz walk spadochroniarzy pod Arnhem i pancerniaków pod Falaise.

W bieżącym roku przypada jednak jeszcze jedna rocznica, bardzo krwawa, choć obfitująca w bohaterskie momenty. Trzeba przy tym zaznaczyć, że jest to rocznica świadomie zapomniana przez polski establishment polityczny, głównie ze względu na taką, a nie inną interpretację tzw. mitu Jerzego Giedroycia, któremu hołdują PO i PiS oraz środowisko

„Gazety Wyborczej”, a także część środowisk „Gazety Polskiej” i „Gazety Polskiej Codziennie” (nad czym, jako były felietonista obu pism, boleję). Jest ona wtrącona w niszę zapomnienia także ze względu na obecne wydarzenia na Ukrainie oraz na daleko idące ukłony wobec ukraińskich, kultywujących tradycję ideologii Stepana J. Bandery, ugrupowań typu Swoboda Ołeha Tiahnyboka, Prawy Sektor Dmytro Jarosza i Batkiwyszczyny Julii Tymoszenko.

Masowe mordy

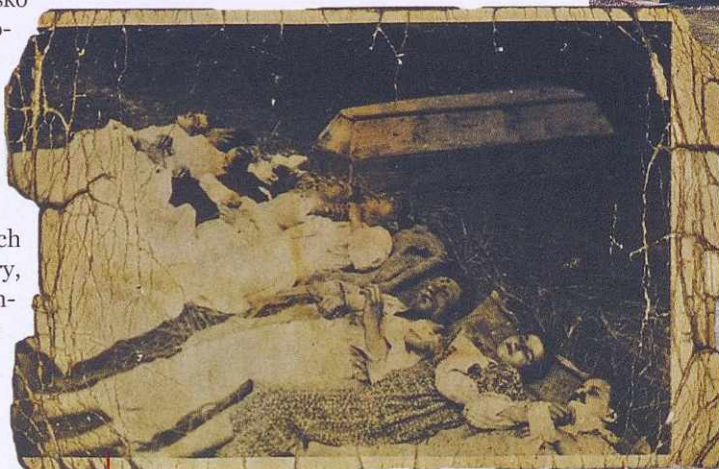
O jaką rocznicę chodzi, o której tak wielu woli nie wspominać? Jest to 70. rocznica drugiej fazy ludobójstwa dokonanego na Polakach i obywatelach polskich

innej narodowości. Sprawcami tej dobrze zaplanowanej zagłady byli nie tylko zbrodniarze z Ukraińskiej Powstańczej Armii, lecz także z 14. Dywizji SS „Galizien” i ukraińskich pułków policyjnych SS.

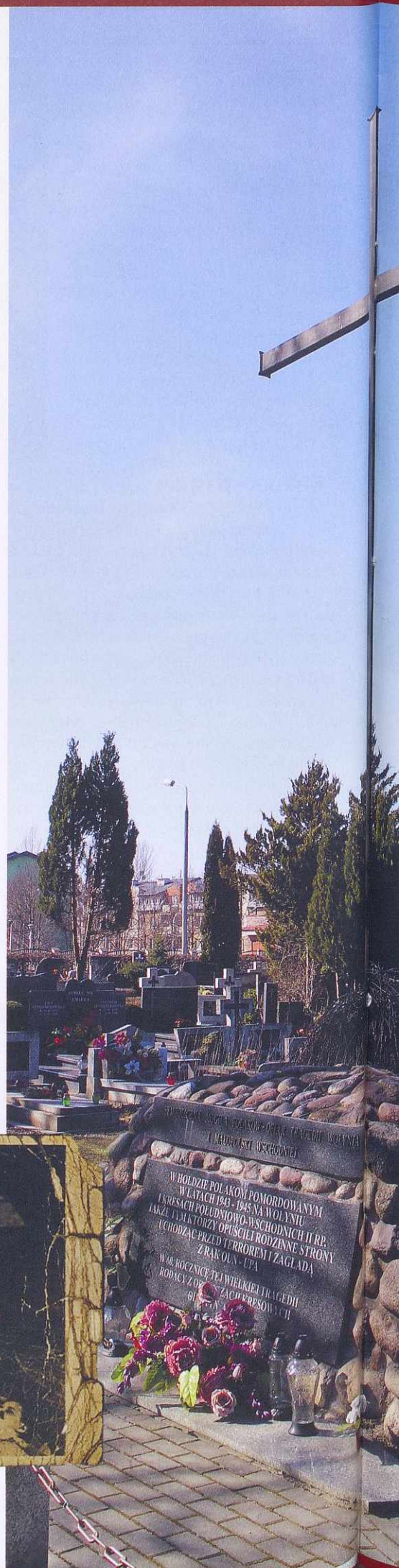
Pierwsza faza ludobójstwa miała miejsce w 1943 roku i swoim zasięgiem objęła cały Wołyń. Druga faza, rozpoczęta na początku roku 1944, objęła tereny Lubelszczyzny oraz Małopolski Wschodniej (tak nazywano województwa: lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie). Co do dat, warto przypomnieć, że pierwsze mordy miały miejsce na tych terenach już na początku wojny. Dla przykładu mój śp. ojciec, Jan Zaleski, w swojej „Kronice życia” opisał zagładę osady Kołodne koło Monasterzysk w powiecie Buczacz. Stało się to w nocy z 18 na 19 września 1939 roku, kiedy wojsko polskie już wycofało się do Rumunii, a jeszcze nie weszli Sowieci. Wówczas to członkowie frakcji banderowskiej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów wymordowali kilka rodzin polskich, w tym kobiety i dzieci. Podobne zbrodnie miały miejsce w tym czasie także w powiatach Brzeżany i Podhajce.

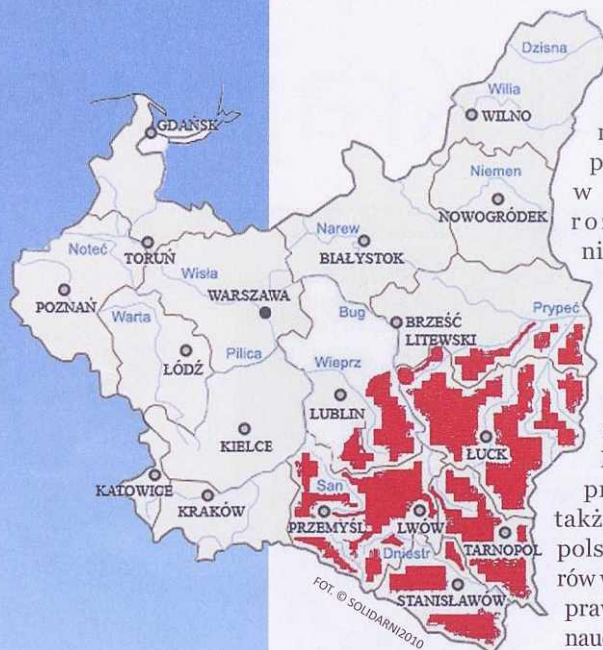
Sytuacja powtórzyła się w lipcu 1941 roku, w czasie kolejnego „bezkrólewia”, kiedy to wycofały się wojska sowieckie, a jeszcze nie weszły niemieckie. Wtedy znów banderowcy dokonali krwawych mordów. Masowo zabijali oni także Żydów, co zaczęło się od pogromów we Lwowie, dokonanych przez członków zarówno OUN, jak i batalionów Abwehry – „Nachtigall” i „Roland” – składających się z Ukraińców na żołdzie Hitlera.

Z kolei w 1942 roku nacjonałiści ukraińscy wzięli czynny udział w Holokauście. Jedni przez łapanie i transportowanie Żydów do niemieckich obozów zagłady, drudzy – w tym



Rodzina Rudnickich zamordowana przez UPA. FOT. © WWW.ZBRODNIAWOLYNSKA.PL





zwłaszcza Ukrainka Policja Pomocnicza – poprzez udział w masowych rozstrzelaniach. W sumie na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej uległo zagładzie prawie pół miliona Żydów. Banderowcy przyczynili się także do zagłady polskich profesorów we Lwowie oraz prawie wszystkich nauczycieli w Stanisławowie i Krzemieńcu,

sporządzając tzw. listy śmierci, wpisując na nie swoich wychowawców i pedagogów. Brali też udział w ich aresztowaniach.

Najgorsze jednak w Małopolsce miało przyjąć dopiero na początku 1944 roku. Oddziały UPA, przesuwające się z Wołynia, rozpoczęły zagładę polskich wsi w sąsiednich województwach. Atakowano zazwyczaj w nocy. Znow oddaję głos autorowi „Kroniki życia”: „W nocy z 28 na 29 lutego 1944 roku banderowcy rozpoczęli rzeź mieszkańców Korościatyna. Rozpoczęli »żniwo« równocześnie z trzech stron, trzech wylotowych dróg. [...] Działyły trzy wyspecjalizowane grupy: pierwsza »pracowała« toporami, druga rabowała, trzecia, złożona głównie z kobiet i wyrostków, paliła systematycznie domostwo po domostwie. Rzeź trwała niemal przez całą noc. Słyszeliśmy przerażające jęki, ryk palącego się żywcem bydła, strzelaninę. Wydawało się, że sam Antychryst rozpoczął swą działalność!”

Rzezi wsi dokonał oddział UPA wspierany przez „siekierników”, czyli chłopów ukraińskich uzbrojonych w siekiery, kosy i noże, łącznie 600 osób. O ich udziale tak wspominała Aniela Muraszka, siostra mojej babci: „Mordowano zagrodę po zagrodzie. Wszystko było połączone z rabunkiem. Odwiązywano z postronków krowy i konie, a następnie uprowadzono je. Ukrainki wpadały do domów i przeskakując poprzez trupy, kradły, co się tylko dało, nawet obrusy, talerze i garnki. [...] Zdejmovano też kozuchy i buty zabitym. Później podkładano ogień. W grupie podpalczy byli nawet dwunasto-, czternastoletni chłopcy”. Jak wynika z relacji świadków, „siekiernikami” kierował grekokatolicki ksiądz wraz z córką (później targany wyrzutami sumienia popełnił samobójstwo).

W tym samym dniu Ukraińcy z 4. Pułku Policji SS wymordowali i zrównali z ziemią dużą polską wieś Huta Pieniacka w powiecie Brody. Bezbronnych ludzi zapędzono do stodoł, które

następnie ostrzeliwano z broni maszynowej i podpalano. W strasznych męczarniach zginęło ponad tysiąc Polaków. Nawiasem mówiąc, ci, którzy obecnie tyle piszą o stodołach w Jedwabnem, o stodołach w Hucie Pieniackiej i wielu innych polskich wsiach kresowych milczą jak zakłeci. Później pułk ten, jak również inne formacje złożone z ukraińskich ochotników do SS „Galizien”, wspierane przez UPA, dokonał nie mniej okrutnych zbrodni w innych miejscach, w tym w Palikrowach, Chodaczku Wielkim i w klasztorze dominikańskim w Podkamieniu.

Piekło z Tarnopolszczyzny rozlało się po całej Małopolsce Wschodniej, ogarniając zarówno okolice Stanisławowa, Stryja czy Lwowa, jak i obecnego Podkarpacia, czyli okolice Przemysła, Lubaczowa czy Sanoka. Sama tylko Bircza była atakowana aż trzy razy. Zagłada Polaków objęła także część Lubelszczyzny, zwłaszcza okolice Tomaszowa Lubelskiego i Hrubieszowa. Ginęli nie tylko Polacy, lecz także Ormianie, zawsze lojalni wobec Rzeczypospolitej. Ginęły też resztki ukrywających się Żydów oraz ci sprawiedliwi Ukraińcy, którzy ratowali polskich sąsiadów. Wraz ze swoimi parafianami zginęło też wielu rzymskokatolickich księży, w tym ks. Józef Suszczyński w Bobulińcach koło Podhajec, ks. Błażej Czuba we wsi Dolha Wojniłowska koło Kałusza czy ks. Stanisław Szczepankiewicz, zamordowany siekierami w czasie wieczerzy wigilijnej.

Okupanci sprzyjali masakrze

Niektórych wsi broniły oddziały AK i BCh oraz samorzutnie powstała samoobrona, których członkowie dawali przykłady bohaterstwa. Mordów nie przerwało ponowne wkroczenie na te tereny Armii Czerwonej. Zarówno sowieccy, jak i niemieccy okupanci nie przejmowali się bowiem mordowanymi Polakami. Dla przykładu tylko w lutym 1945 roku i tylko w powiecie Buczac (chodzi o wieś Ujście Zielone, Barysz, Puźniki, Zalesie i Zaleszczyki Małe) UPA zamordowała lub spaliła żywcem ponad pół tysiąca Polaków. Dwa miesiące później dokonała też mordu w Więzownicy koło Jarosławia.

Nawiasem mówiąc, sprawa tej zbrodni odżyła rok temu w Sejmie. Doszło bowiem do konfrontacji, w której po jednej stronie znalazł się poseł Mieczysław Golba (Solidarna Polska), urodzony w Więzownicy, krewny pomordowanych, a po drugiej poseł Miron Sycz (dawniej PZPR, dziś PO), którego ojciec był członkiem kurenia UPA „Mesnyki” („Mściciele”) – sprawcy mordów w owej wsi. Mordy trwały także po zakończeniu wojny, na terenach zabużańskich do wypędzania większości Polaków w 1946 roku, a na ziemiach obecnej Polski do akcji „Wisła”. Nie znamy dokładnej liczby zamordowanych w 1944 roku, ale idzie ona w dziesiątki tysięcy.

Kto uczi ich pamięć? Raczej nie politycy lub urzędnicy państwowi. Cały ciężar spadnie więc znów na potomków pomordowanych, czyli zadba o to oddolnie społeczeństwo, a nie władza. Tak jak za czasów PRL.

Dzieje Armii Krajowej

„W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Maryi Panny, Królowej Korony Polskiej kładę swe ręce na ten Święty Krzyż, znak Męki i Zbawienia, i przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięte na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił – aż do ofiary życia mego. Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej i rozkazom Naczelnego Wodza oraz wyznaczonemu przezeń Dowódcy Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszny, a tajemnicę niezłomie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało. Tak mi dopomóż Bóg”.

Rota przysięgi Armii Krajowej



Gen. Leopold Okulicki wśród żołnierzy Armii Krajowej podczas walk w Warszawie, 1944 REPR. IPN

Przebrana Polaków z Niemcami i Sovietami w kampanii wrześniowej 1939 roku i dokonany przez agresorów IV rozbiór Polski nie przekreślił w narodzie woli dalszej walki o niepodległość i całość granic Rzeczypospolitej. Po odtworzeniu polskich jednostek bojowych na obczyźnie, Polacy pod ogólnym dowództwem alianckim kontynuowali walkę na lądzie, morzu i w powietrzu. Walka w kraju odbywać się mogła tylko w warunkach okupacyjnych. Polacy stworzyli wiele organizacji wojskowych o charakterze partyzanckim, które wypisały sobie na sztandarach hasło wolności Ojczyzny. Największą formacją zbrojną Polskiego Państwa Podziemnego była Armia Krajowa.



dysław Sikorski, najważniejszy kreator polityki polskiej po klęsce wrześniowej, podejrzewając jej kierownictwo o związki z nieprzychylnym mu obozem pilsudczykowski, doprowadził do likwidacji SZP. 13 listopada 1939 roku w miejsce SZP Sikorski powołał **Związek Walki Zbrojnej (ZWZ)**, który przejął strukturę zlikwidowanej konspiracji.

ZWZ formalnie dowodzony był z terytorium Francji, gdzie w momencie jego powołania rezydował prezydent i rząd polski, mogący zgodnie z zapisami konstytucji kwietniowej kontynuować swoją misję na obczyźnie. Pierwszym Komendantem Głównym ZWZ był przebywający poza krajem generał Kazimierz Sosnkowski, pilsudczyk, były założyciel Związku Walki Czynnej i szef Sztabu I Brygady Legionów Polskich, przedwojenny minister spraw wojskowych, antagonistą Sikorskiego.

Po kapitulacji Francji Sikorski chcąc usprawnić dowodzenie ZWZ Zastępcą Komendanta Głównego zamianował przebywającego w okupowanej Polsce pułkownika Stefana Roweckiego, byłego żołnierza I Brygady Legionów Józefa Piłsudskiego, w okresie dwudziestolecia niepodległości zawodowego wojskowego, który w czasie przewrotu majowego w 1926 roku opowiedział się po stronie legalnych władz, a zatem przeciwko

Marszałkowi Piłsudskiemu. Rowecki już 30 czerwca 1940 roku objął funkcję po Sosnkowskim, stając na czele Komendy Głównej ZWZ w kraju. Sikorski organizując odpowiednie zaplecze polityczne dla działań ZWZ, nakazał jego kierownictwu współpracę z działającym w warunkach konspiracji antysanacyjnym Głównym Komitetem Politycznym, skupiającym partie będące przed wojną w opozycji.

Powstanie Armii Krajowej

14 lutego 1942 roku Władysław Sikorski jako Naczelny Wódz przemianował ZWZ na Armię Krajową. Zadaniem tej najsilniejszej i najlepiej zorganizowanej konspiracji podziemnej w okupowanej Europie był zbrojny opór przeciwko niemieckiemu okupantowi i przygotowanie powstania powszechnego. Jej dowódcami, stojącymi na czele Komendy Głównej AK, byli generałowie: Stefan Rowecki – „Grot”, Tadeusz Bór-Komorowski i Leopold Okulicki – „Niedźwiadek”.

W latach 1942–1943 trwała akcja scaleniowa Armii Krajowej, polegająca na skupieniu pod jednym dowództwem jak największej liczby konspiracyjnych formacji zbrojnych. W jej wyniku w szeregach AK znaleźli się m. in. żołnierze walczący wcześniej pod auspicjami ugrupowań partyjnych: Narodowa Organizacja Wojskowa prowadzona przez Stronnictwo Narodowe czy Bataliony Chłopskie z patronatem ludowców. Pod rozkazami Komendanta Głównego AK znalazło się około 300 tysięcy żołnierzy.

Struktura organizacyjna Armii Krajowej w swym zasadniczym trzonie ukształtowała

Rodowód AK

Pierwszą wojskową organizacją konspiracyjną, od której wywodzi się rodowód Armii Krajowej (AK), była powstała jeszcze w czasie oblężenia Warszawy – 27 września 1939 roku – **Służba Zwycięstwu Polski (SZP)**.

Dowództwo nad SZP, której celem była niepodległość Polski w granicach przedwojennych, wskrzeszenie polskiego wojska w kraju i budowa tymczasowych ośrodków władzy, objął generał Michał Karaszewicz-Tokarzewski, były legionista, weteran walk o niepodległość w czasie I wojny światowej, organizator odsieczy dla walczącego Lwowa w listopadzie 1918 roku, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, w II RP zawodowy wojskowy.

Służba Zwycięstwu Polski miała aspiracje objęcia zasięgiem swej działalności całego terenu okupowanej Polski. Choć organizacja posiadała poparcie przedwrześniowej opozycji politycznej i podporządkowała się nowym polskim władzom na obczyźnie, generał Wła-

się w okresie istnienia ZWZ. Struktura terytorialna zaś opierała się na obszarach, wyodrębnionych w nich okręgach, podzielonych z kolei na obwody, co wszystko odpowiednio odwzorowywało regiony, województwa i powiaty. Do momentu wybuchu planowanego powstania AK konsekwentnie prowadziła tzw. walkę bieżącą, gdzie głównymi formami działania były: dywersja, sabotaż, akcja wywiadowcza i informacyjno-propagandowa.

Działalność AK

Od kwietnia 1940 roku działał Związek Odwetu, szczególnie rozbudowany w Generalnym Gubernatorstwie i terenach wcielonych do Rzeszy, stanowiący trzon bojowy ZWZ, a od sierpnia 1941 roku – Wachlarz, organizacja sabotażowo-dywersyjna, której celem było m. in. zabezpieczenie przyszłego powstania od Wschodu.

Ścisłe zakonspirowaną komórką AK, podlegającą bezpośrednio Komendzie Głównej, była powołana w maju 1942 roku Organizacja Specjalnych Akcji Bojowych o kryptonimie „Osa”, której członkowie przeprowadzali zamachy na szczególnie okrutnych funkcjonariuszy hitlerowskich, a którą po rozbiciu przez Niemców dowództwo AK zastąpiło opartą na Grupach Szturmowych Szarych Szeregów nową jednostką specjalną o kryptonimie „Agat”, przemianowaną potem na „Pegaz”, a następnie „Parasol”. To właśnie ta komórka przeprowadziła słynną dziś akcję pod Arsenalem czy zamach na Franza Kutscherę. Dla koordynacji działań sabotażowych, dywersyjnych i akcji partyzanckich 22 stycznia 1943 roku powołano Kedyw, czyli Kierownictwo Dywersji Komendy Głównej AK, dowództwo którego powierzono pułkownikowi Augustowi Emilowi Fieldorfowi – „Nilowi”, byłemu legionście i uczestnikowi wojny polsko-bolszewickiej, późniejszemu zastępcy dowódcy AK gen. Okulickiego.

Czasem intensyfikacji działań dywersyjno-partyzanckich AK był rok 1943, kiedy to



akowcy m. in. 39 razy zaatakowali patrole żandarmerii niemieckiej, stoczyli około 130 walk i wykoleili blisko 100 pociągów. W czasie okupacji aktywnie działał wywiad AK, zdobywając i przekazując do Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie np. informacje o ruchach niemieckich wojsk w okupowanym kraju czy ustalając – co było spektakularnym sukcesem – miejsce produkcji rakiet V1 i V2. Akcja informacyjna i propaganda, prowadzona za pomocą licznych tytułów prasy konspiracyjnej, wydawnictw i ulotek, podtrzymywała opór społeczny wobec okupanta, ale i siała defetyzm w niemieckich szeregach. W kraju działały wojskowe sądy specjalne rozpatrujące przypadki zdrady, szpiegostwa czy prześladowania polskiej ludności.

Rok 1944 – Akcja „Burza”

Kontynuując walkę bieżącą wraz z początkiem 1944 roku AK przygotowywała się do akcji „Burza”, czyli operacji wojskowej przeciw wojskom niemieckim bezpośrednio przed wejściem w przedwojenne granice Polski Armii Czerwonej. Zmobilizowano około 100 tysięcy żołnierzy. Celem „Burzy”, obok wzmoczonej akcji dywersyjnej na tyłach wycofujących się wojsk niemieckich, było zademonstrowanie wkraczającym na ziemię polskie Sowiecom przedstawicieli legalnych władz Rzeczypospolitej, a zatem uświadomienie im, iż to Polacy uznającym prawowity rząd polski w Londynie są rzeczywistym gospodarzem terenów wyzwolanych spod niemieckiej okupacji.

Chociaż oddziały AK uczestniczyły w zdobyciu kilku dużych miast, to z politycznego punktu widzenia „Burza” zakończyła się fiaskiem. Ujawniających się przedstawicieli polskich władz cywilno-administracyjnych Sowietci aresztowali, a oddziały AK rozbrajali i deportowali na Wschód. Drastycznym przykładem politycznej klęski operacji było Wilno, po którego zdobyciu 13 lipca 1944 roku przy znacznym udziale



Opaska noszona przez żołnierzy Armii Krajowej FOT. © MACIEJ SZCZEPANCZYK

sił okręgu wileńskiego i nowogródzkiego AK, polskich dowódców NKWD podstępnie aresztowało i wywiozło w głąb Sowietów, podobnie jak schwytych w obławie żołnierzy, którzy odmówili wejścia do prosowieckiej armii generała Berlinga. W wyniku zakończonej w styczniu 1945 roku „Burzy” AK została poważnie osłabiona – około 50 tysięcy jej członków w wyniku działań sowieckich służb bezpieczeństwa rozstrzelano, trafiło do więzień lub obozów.

Wyrazem bohaterstwa żołnierzy Armii Krajowej, aktem najwyższego heroizmu i poświęcenia w dążeniu do niepodległości ojczyzny była ich walka w Powstaniu Warszawskim.

Rozwiązanie Armii Krajowej

Beznadzieja i niemoc po zakończeniu walk w stolicy, a potem zajęcie zachodnich ziem polskich przez Armię Czerwoną spowodowały decyzję o rozwiązaniu Armii Krajowej.

Nastąpiło to 19 stycznia 1945 roku na mocy rozkazu gen. Okulickiego, wydanego na podstawie decyzji prezydenta RP. W marcu 1945 roku sam Okulicki został przez Sowieców wraz z kilkunastoma czołowymi działaczami Polskiego Państwa Podziemnego aresztowany i przewieziony do Moskwy. Tam, po sfinansowanym procesie, skazano go na 10 lat. Ostatni Komendant Główny AK nie doczekał końca wyroku – zmarł w grudniu 1946 roku w więzieniu na Łubiance, będąc najpewniej zamordowanym.

Historia Armii Krajowej to rozdział zakończony, ale pamięć o jej bohaterskich żołnierzach trwa i trwać będzie.

PIOTR KARDELA



Pomnik Armii Krajowej według projektu Biura Projektów Budownictwa Komunalnego w Gdańsku i Janusza Wierzyńskiego RYC. © BPK

Obchody 75. rocznicy Służby Zwycięstwu Polski

Odświeżenie Pomnika Armii Krajowej
Olsztyn, 26-27 września 2014

26 września (piątek)

19⁰⁰ – Msza św. w bazylice konkatedralnej św. Jakuba w intencji żołnierzy i pracowników cywilnych Polskiego Państwa Podziemnego

27 września (sobota)

9⁰⁰ – Konferencja nt. „Polskie Państwo Podziemne” w gmachu Urzędu Wojewódzkiego w Olsztynie

11⁰⁰ – Uroczyste odświeżenie Pomnika Armii Krajowej na skwerze obok skrzyżowania al. Marszałka Piłsudskiego i ul. Dąbrowszczaków

Piórem Jadwigi Chmielowskiej

Po co nam niepodległość

Panorama Dublina
FOT. © DELATORRE

Wróciłam z Irlandii. To piękna zielona wyspa. Ciepło i duża wilgotność sprzyja bujnej roślinności. Fale morskie rzeźbią urokliwe klify. Niestety miasta Dublin i Cork są brzydkie. Widać na nich piętno byłej kolonii brytyjskiej. Nowa zabudowa jest ładna, lecz starówki wyglądają prawie jak tereny przemysłowe. Główna ulica zadbane, lecz gdy skręcisz w boczną to brzydota rzuca się w oczy. Ponoć Anglicy nie budowali wysokich kamienic w Dublinie, aby nie były wyższe niż w Londynie.

Irlandczycy kilkaset lat walczyli o niepodległość. Teraz próbują odrobić stracony w niewoli czas. Dominacja angielska zaczęła się w XII wieku, a w XVII rozpoczęły się wysiedlenia zwane „plantacją Ulsteru”. Irlandia od początku XIX stulecia weszła w skład Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii. Przywracany jest język narodowy, wszędzie widoczne są napisy dwujęzyczne. Irlandczyków jest około 4,5 mln, z Polakami może około 5 mln. Są już miejscowości, gdzie prawie jedną trzecią stanowią Polacy.

Młode polskie rodziny mają po dwoje i troje dzieci. W domu mówi się po polsku i dzieci nie tracą kontaktu z językiem, kulturą i historią kraju ojczystego. Młodzi marzą o tym, aby wrócić do Polski. Niektórzy planują zarobione pieniądze zainwestować w kraju. Powstrzymuje ich jednak brak perspektyw w Ojczyźnie. Boją się nieprzyjaznego przedsiębiorcom państwa i szalejącego bezrobocia. III RP zmusiła ich do emigracji. Są wykształceni i chcieliby pracować dla kraju, dla siebie i swoich wnuków.

To właśnie w Irlandii dowiedziałam się o ujawnieniu nagrań rozmów polskiej elity politycznej. Był to dla wszystkich szok. Wiedzano, że nasza klasa polityczna jest kiepska, ale że aż tak! Jestem wdzięczna tym, którzy nagrali i tym którzy ujawnili, o czym i w jaki sposób dyskutują ludzie, którym wyborcy powierzyli los państwa, czyli swój własny. Od 26 lat przestrzegałam przed skutkami Magdalenki i... byłam „oszołomką”. Mam

nadzieję, że w Polsce nastąpi przełom. Dorasta młode pokolenie. Może nie wszyscy myślą jak pewna celebrytka, że jak ktoś nas napadnie to uciekniemy...

Przyszłość Polski zależy od nas – Polaków. Od tego czy potrafimy wyłonić prawdziwe elity – ludzi ideowych i fachowych. Mogliśmy i nadal możemy być krajem zasobnym. Ale musimy dbać o swoje własne interesy. Nie wiem jak to się stało, że Polacy dali sobie wzmówić konieczność prywatyzacji. Zapanował jakiś prywatyzacyjny amok. Dlaczego nie czerpano wzorców z II RP? Na Śląsku wojewoda Michał Grażyński wykupił pakiety kontrolne niemieckich firm. Przed wojną rozwijał się ruch spółdzielczy. Przecież w Centralnym Okręgu Przemysłowym inwestowało państwo. Budowano zakłady chemiczne – azotowe, przemysł maszynowy i zbrojeniowy. Teraz sprzedawane są nawet przedsiębiorstwa komunalne inwestorom zagranicznym, jak np. w Gdańsku. Gdańczanie dofinansowują budżet miasta Lipsk i dzięki temu Niemcy mogą mieć tanie bilety na przejazd komunikacją miejską. Jakoś po wykupieniu polskiej spółki komunalnej przez niemiecką spółkę komunalną, już nie przynosi strat a generuje zyski!

Przemysł można odbudować, trzeba tylko chcieć. Są łupki, mamy technologie produkcji grafenu ale nieudacznicy i łapówkarze wszystko roztrwonią. Przeraziła mnie dyskusja w Sejmie, kiedy któryś z posłów zachwalał prywatyzację Azotów, mówiąc o utrzymaniu miejsc pracy. Człowieku o czym ty mówisz! Grafen przy-

niesie Polsce miliardy! Pozwoli być może na stworzenie milionów nowych miejsc pracy! Ale jak oddamy go Rosjanom dzięki umożliwieniu im zasiadania w Radzie Nadzorczej, będziemy produkować jedynie nawozy azotowe i to niedługo! Dzięki współpracy Instytutu Technologii Materiałów Elektronicznych i Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego w 2011 roku opracowano technologię pozyskiwania dużych fragmentów grafenu i to o najlepszej w świecie jakości! Możliwa jest więc nie tylko produkcja grafenowych elementów scalonych w elektronice ale wykorzystanie go w energetyce i przemyśle zbrojeniowym.

Możemy wszyscy korzystać z naszych bogactw naturalnych i pracy polskich specjalistów, naukowców, musimy jednak być sprawnym państwem, które dba o pomyślność swoich obywateli. Nie mogą nami rządzić żule i nadęte bufony, potrafiące kłaniając się nisko zadbać jedynie o własną kieszeń. Oslabiając państwo i tracąc niepodległość będziemy pracować dla obcych i dbać o ich pomyślność. Staniemy się niewolnikami we własnym kraju.

Oby się to nigdy nie stało, bo nasi wnukowie nam tego nie wybaczą. Wierzę w mój naród, że się przebudzi i pogoni łotrów i zaprzańców.

JADWIGA CHMIELOWSKA

PS. Dziękuję wszystkim, którzy gościli mnie te kilka dni w Irlandii. Da Bóg, że już niedługo będziecie mogli wrócić do Ojczyzny, za którą tęsknicie.

JC

Z Anglii...

Prasa polskojęzyczna na emigracji

Być wśród swoich i czuć się samotnym. To wyobcowanie przekłada się na samopoczucie, a dalej – uciekamy w głąb siebie aby się zatracić w poczuciu bezwartości jeszcze bardziej. Odszkodnią może być narkotyk – dla jednych w dosłownym tego słowa znaczeniu, dla innych alkohol, książka lub też zajęcie godne wcześniej zdobytym umiejętnościami.

Szczególnym szacunkiem darzymy tych, którzy wypełniają chwile roztrąpanymi poszukiwaniami. Takie poczynania dają obopólne korzyści: poszukującym, odbiorcom. Zarówno nauczyciele jak i dziennikarze mają tutaj sporo do zaoferowania. Gorzej jeżeli za nauczanie i dziennikarstwo biorą się osoby nie mające o profesji zielonego pojęcia lub pojęcie wypaczone – sygnalizowaliśmy to na łamach „Gazety Polonijnej”, i nie tylko tam.

Środowiska polskojęzyczne oczekują profesjonalnego traktowania dobra jakim jest poczucie przynależności narodowej na emigracji. Po drugiej wojnie światowej polska migracja miała charakter polityczny: poprzez publicystykę wyrażano stanowisko wobec przeszłości.

Dzisiaj rolę mediów etnicznych wobec kolejnych emigrantów polonijnych jest przewodnictwo w nowej rzeczywistości, podawanie informacji o języku angielskim i polskim, rozrywka.

Niniejsza wypowiedź oparta jest głównie o własne spostrzeżenia. Niemniej pewne dociekania zostały doczytane w „słowach redaktorów naczelnych”, a inspiracją próba znalezienia odpowiedzi na zapytania o sposób uprawiania zawodu dziennikarza na emigracji. Przyjmuje się, że na terenie całej Wielkiej Brytanii ukazuje się co najmniej kilkadziesiąt tytułów prasy polskojęzycznej. Skupiam się na wydawanych lub też docierających do Peterborough głównie z dwóch powodów: miejsce pobytu a zatem i zainteresowania, duży ośrodek przemysłowy co ma wpływ na liczebność Polonii.

Prawie wszystkie tytuły są bezpłatne. Utrzymują się z wpływów z reklamy bądź wspomaganie są przez sponsorów – rzutuje to na ich żywotność. Bywa, że wydawcy stają w obliczu zamknięcia lub też ograniczenia edycji. Sami dziennikarze podejmują często inne zajęcia.

Jest to, można by rzec, wnikanie w środowisko, ale także, a może właśnie – przede wszystkim – możliwość zaspokajania tych nieodzownych w codziennym

życiu potrzeb. Problemy natury finansowej nie są jedynymi dzisiejszego dziennikarstwa emigracyjnego.

Środowisko to cierpi na brak ludzi z odpowiednim warszatem. Ograniczenia możliwości finansowych nie przyciągają do pracy najlepszych dziennikarzy. Słyszysz się wręcz niejednokrotnie nie o dziennikarstwie lecz o dochodach z reklam. Zauważamy zatem tutaj dwojakie podejście do zawodu: pasja, interes. Osobiście uważam, że nie zdobędzie się do świadczenia bez odpowiedniego przygotowania. Brak kwalifikacji i niekompetencja wpływają na ogólny kształt dostrzegalny przez czytelników. Dlatego też zniknęły z półek niektóre tytuły (na przykład: „Notabene”, „Poliszboro”, „Nasze Sprawy”, „Pmagazyn”),



inne zalegają (na przykład: „Nasze Strony”). Nie kusimy się na ocenianie poszczególnych wydawnictw. Możemy jedynie nadmienić, że niektórymi z tych tytułów zarządzali ludzie, którzy nie wiedzieli nic o strukturze prasy. Jedno z czasopism posiłkuje się wiadomościami, mówiąc delikatnie – wyssanymi z palca. Lecz do Peterborough docierają też takie pisma, których nakład rośnie – zyskują coraz szersze grono odbiorców („Cooltura”, „Goniec Polski”, „Gazeta Polonijna”).

Chciałoby się aby czasopisma kreowały jakąś wizję, budowały świat przyjazny szerokiemu polonijnemu społeczeństwu, a tu

tymczasem wyłania się negatywny wizerunek Polaka wykreowywany ze strony niektórych redakcji; głos zabierają nawet ci nieupoważnieni – pseudodziennikarze. Dziennikarze

czują większą niezależność, mają większą swobodę wypowiedzenia się oraz podejmowania znacznie większą różnorodność tematów niż w Polsce – oby tylko źle nie pisać o Królowej.

Pisma, jakie docierają do Peterborough, nie ukazują się codziennie a zatem i informacje bywają najczęściej nieco „spóźnione”, ale też nie na bieżących informacjach czytelnikowi zależy. O wydarzeniach informują radio lub telewizja. Pisma skupiają się raczej na potrzebach praktycznych społeczeństwa takich jak: świadczenia, przedszkola i szkoły, formy spędzania wolnego czasu, zdrowie... Tematy nie zostaną wyczerpane. Tak jak i powyższe spostrzeżenia, które zapewne będziemy uzupełniać.

JAN CHOIŃSKI



Gazeta bezpłatna tworzona przez Polonię dla Polonii

Gazeta

Scotland **POLONIJNA.co.uk**

z Francji...

Tablica (nie)pamięci?



Paryż to miasto niezwykle. Pod każdym względem. A ileż na tym „paryskim bruku” polskich śladów...

Polscy imigranci

Wielka fala polskich imigrantów napłynęła do Paryża i w jego okolicy po upadku powstania listopadowego w 1831 roku. Wówczas do wyjazdu z Polski zostali zmuszeni m. in. żołnierze biorący udział w walkach powstańczych i członkowie Rządu Tymczasowego. W późniejszych okresach były kolejne etapy polskiego wychodźstwa. Przyjeżdżali tu również – z różnych przyczyn – artyści, uczeni. Ileż polskich nazwisk, które zapisały się w dziejach Francji i jej stolicy. Czartoryski, Kniaziewicz, Mickiewicz, Niemcewicz, Chopin, Norwid, Curie-Skłodowska... długo tak można wymieniać. Nie wystarczyłoby miejsca w jednym wydaniu „Bez Wierszówki”, aby te polskie ślady opisać.

Miasto kryje dużo polskich pamiątek; jest wiele miejsc upamiętniających naszych rodaków oraz polską drogę do wolności, jak w przypadku miejsca na Esplanade des Invalides, gdzie dziś znajduje się tablica przypominająca wydarzenia, które tu miały miejsce po 13 grudnia 1981 roku.

Po przeniesieniu krzyża, w miejscu gdzie stał do tej pory umieszczono pamiątkową kamienną płytę; w głębi ulicy wejście do Ambasady RP przy rue de Talleyrand nr 1

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Nasi rodacy, z niewielkimi wyjątkami (jak choćby Mickiewicza, Słowackiego, Sosnkowskiego, których ciała ekshumowano, aby przenieść do Ojczyzny), również na tej gościnnej ziemi znaleźli miejsce wiecznego spoczynku. Na każdym z paryskich cmentarzy odnajdziemy groby z polskimi nazwiskami. Szczególnym miejscem jest jednak cmentarz w Montmorency oraz na Montmartrze, gdzie kwaterę 17 określono mianem: Avenue des Polonais. Stolica Francji skrywa również wiele miejsc związanych z Polską i Polakami; pałace, kościoły, pomniki, czy choćby wspomnianą tablicę na Esplanadzie Inwalidów.

Krzyż na Esplanadzie

Miejsce to w latach osiemdziesiątych minionego wieku było miejscem szczególnym. Po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce aż do upadku komunizmu Esplanade des Invalides była miejscem częstych manifestacji Polaków, wydalonych z Polski działaczy „Solidarności” oraz sympatyzujących z nią mieszkańców Paryża.

Fragment Esplanade des Invalides gdzie umieszczono pamiątkową tablicę – widok sprzed budynku ambasady polskiej przy rue de Talleyrand nr 1 FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI



Miejsce nie zostało wybrane przypadkowo.... na wprost wejścia do polskiej ambasady od rue de Talleyrand. Manifestanci ustawili w tym miejscu krzyż-pomnik dla uczczenia pierwszych ofiar „wojny Jaruzelskiego” – zabitych górników kopalni „Wujek”. Na tabliczce umieszczonej na nim czerwoną farbą napisano: „Przechodniu powiedz Polsce, że

synowie Jej / zamordowani przez najemników Moskwy / pragnęli tylko BY POLSKA BYŁA POLSKĄ”.

Wiele by uczynili ówcześni peerelowscy lokatorzy tego polskiego skrawka na paryskiej ziemi, aby ten krzyż

i ci ludzie zniknęli. Wydarzenia szybko jednak zmieniały oblicze ówczesnej rzeczywistości...

– Kiedy w Polsce teoretycznie skończyły się rządy komunistów i stała się suwerenna, krzyż przed ambasadą przestał służyć jako punkt zborny dla protestujących i nie odgrywał

już więcej w tym miejscu dawnej politycznej roli – stwierdza Barbara Stettner-Stefańska na kartach swojej książki o Paryżu, dodając: „W dalszym ciągu jednak pozostawał świętym symbolem dla chrześcijan i krzyżem polskich patriotów, tymczasem siusiały na niego pieski, traktowano go bezceremonialnie jako wieszak na ubrania dla grających w *pétanque*, wreszcie niebezpiecznie się przechylił...” (*Paryż po polsku*, Warszawa 2001, s. 274).

Czy rzeczywiście to było główną przyczyną przeniesienia krzyża z tej dość ekskluzywnej dzielnicy z licznymi placówkami dyplomatycznymi, czy były jeszcze inne, nie będziemy w tym momencie dociekać. Ważnym jest to, że wówczas wszyscy zaangażowani w sprawę byli zgodni co do jednego – to miejsce nie może pozostać bez śladu po tym, co się tu działo przez tyle czasu, a czego materialnym znakiem był ów krzyż. Dlatego też po jego przeniesieniu na największą polską nekropolię we Francji, do podparyskiego Montmorency, w miejscu gdzie do tej pory stał na Esplanadzie umieszczono pamiątkową kamienną tablicę.

Pamiątkowa tablica

Odsłonięto ją 1 września 1997 roku. Podczas uroczystości, w której uczestniczyli m. in. członkowie paryskiego komitetu „Solidarności” z lat 80., ambasador RP, liczni Polacy mieszkający we Francji oraz Francuzi – przyjaciele Polski, Lech Wałęsa m. in. stwierdził: „Krzyż, który [...] na początku 1982 roku pojawił się na tej wspaniałej Esplanadzie Inwalidów znajduje się teraz na polskim cmentarzu pod Paryżem wśród legend polskiej historii, wśród polskich bohaterów. Upamiętnia kolejne pokolenie tych, którzy oddali życie za wolną Polskę. My zaś odsłaniamy dzisiaj dwujęzyczną tablicę pamiątkową, która znalazła się tu dzięki szczodrości naszych francuskich przyjaciół, dzięki ich cieplej pamięci”.

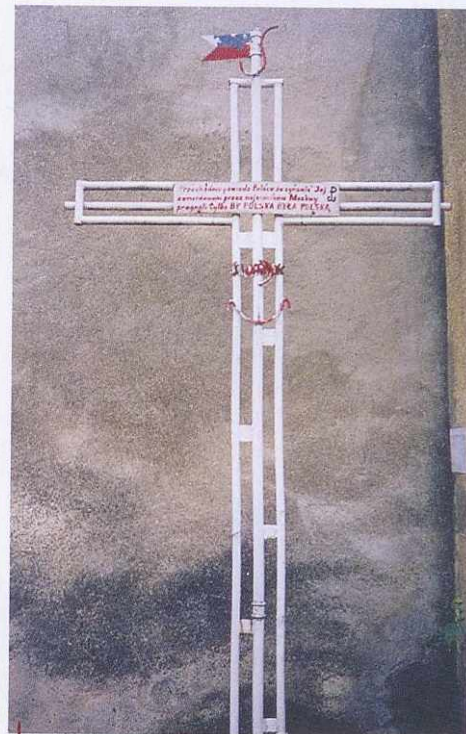
W tym miejscu, począwszy od 13 grudnia 1981, Polacy i Francuzi protestowali masowo i solidarnie przeciw wprowadzeniu stanu wojennego i prześladowaniom w Polsce. Świadcząc swe poparcie dla „Solidarności”, dla wolności i niepodległości Polski. Pamiętajmy o tych dniach.

Na płycie, którą usytuowano wokół rosnącego drzewa, wryto napis w języku francuskim i polskim: „*En ces lieux des le 13 décembre 1981 Polonais et Français protesterent massivement et fraternellement contre l'instauration de l'état de guerre et la répression en Pologne en témoignant leur soutien à Solidarnosc, à la liberté et à l'indépendance de la Pologne. Souvenons-nous en.* / W tym miejscu, począwszy od 13 grudnia 1981, Polacy i Francuzi protestowali masowo i solidarnie przeciw wprowadzeniu stanu wojennego i prześladowaniom w Polsce. Świadcząc swe poparcie dla »Solidarności«, dla wolności i niepodległości Polski. Pamiętajmy o tych dniach”.

Smutna refleksja

Dziś, po 17 latach od tamtej uroczystości, ma się odczuć, że brak w tym miejscu gospodarza. Zauważalny jest brak troski o porządek wokół pamiątkowej płyty.

Niektórzy z naszych rodaków odwiedzając Paryż i chcąc dotrzeć w to miejsce, nie mogą



Krzyż z Esplanade des Invalides znalazł swoje miejsce w podparyskim Montmorency, na największej polskiej nekropolii we Francji, często zwanej Panteonem Polskiej Emigracji lub wprost „Podparyską Skalką”

FOT. © WWW.PARYSKIEPOLONICA.REPUBLIKA.PL

po prostu go odnaleźć. Magdalena i Andrzej Banakowie opisując swój pobyt w Paryżu ze smutkiem stwierdzają: „Próbujemy za to na Placu Inwalidów, w okolicy polskiej ambasady, znaleźć tablicę pamiątkową, wmurowaną na cześć »Solidarności«, jednak nie udaje nam się to”... („Dłuższy weekend w Paryżu”, bezdroza.pl). Nie dziwi to, brak bowiem jakiegoś oznaczenia tego miejsca, a płytę leżącą na ziemi – wokół której gromadzą się śmieci i liście naniezione przez wiatr – łatwo można przeczytać.

Ponadto pojawił się jeszcze inny problem. Drzewo, które w zamierzeniu architekta jedna strona płyty otoczyła swoim konturem, po prostu urosło... Spowodowało to równoczesne wypietrzenie gruntu wokół niego i naruszyło poziom całości pomnika, zwłaszcza mniejszego jego elementu.

Obecny stan tablicy źle świadczy o tych, którzy powinni pamiętać o tak szczególnych miejscach. Szczególnie źle świadczy o tych, którzy z urzędu mają być naszymi „ambasadorami” za granicą... A przecież z okien budynku przy rue de Talleyrand nr 1 widać miejsce z tablicą, toż to tylko niecałe sto kroków.

IRENEUSZ ST. BRUSKI

Fragment Esplanade des Invalides; po prawej w głębi kopuła kościoła św. Ludwika (Inwalidów); w centrum – w oddali pod drzewami usytuowana jest pamiątkowa tablica

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Z Holandii...

Multicultureel

Wpoklasztornym budynku bezwyznaniowej organizacji pomocy „Humanitas” (oddział północny z siedzibą w Groningen), w pustawym wnętrzu restauracji DE GLOBE czyli ŚWIAT wspominam – zapamiętane z początku lat dwutysięcznych – grupki skupionych nad stolikami gorączkowo dyskutujących uchodźców... Gdzie oni się podziali, ci uciekinierzy z wielu Ojczyzn, młodzi mężczyźni o nie zawsze przeciętnej biografii?

Po prostu zlikwidowano w „Humanitas” dział o nazwie Multicultureel, mający pod opieką uchodźców występujących o azyl polityczny. Organizacja koncentruje się teraz na stałych mieszkańcach Holandii dotkniętych przewlekłą chorobą, inwalidztwem czy – uznanym tu za bardzo dotkliwe – osamotnieniem.

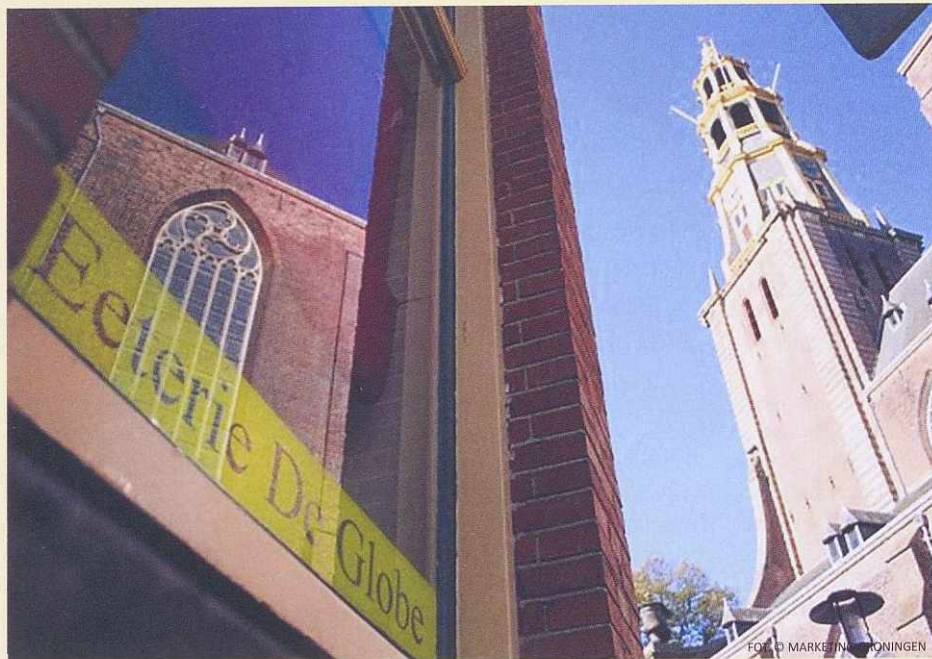
W dawnym pokoju *Multicultureel*, przy biurku z komputerem zastaję dawnego kolegę z redakcji (także zlikwidowanego) pisma „MCMulticultureel”. Jest wychodźcą

z Bośni. Wojna wybuchła gdy jako student elektroniki przebywał w Niemczech na zarobkowych wakacjach. Nigdy już nie wrócił. Ożenił się z Holenderką, niedawno urodziło im się dziecko. Jego rodzinnym miastem, którego nigdy nie wspomina i wspominać nie chce, jest miasto-męczennik, Sarajewo.

Odbiera właśnie telefon od starszej kobiety, nad którą sprawuje opiekę (czy to Kurdyjka czy Gruzinka tego w biurze nikt nie wie). Porozumiewa się z nią kombinacją serbsko-chorwackiego i rosyjskiego, toteż stają się natychmiast obiektem jego zainteresowania jako osoba, która może znać rosyjski. – Więc się nie uczył rosyjskiego w szkole? Oburzam go. – Mój kraj nie był satelitą ZSRR! – stwierdza.

Podopieczna dzwoni z gabinetu lekarza, z którym nie może się porozumieć. Ex-Jugosłowianin przełącza teraz rozmowę tak, że się rozlega z głośnika na cały duży pokój. Wychwytyję wyraz, który w naszych językach brzmi podobnie: „sreda”. A zatem lekarz przełożył jej wizytę na środę. Na godzinę...? Coś jakby „trzyście” rozbrzmiewa spod sufitu. Doskonale. Ex-Jugosłowianin jest zadowolony. Na trzynastą w środę uda się dla niej zamówić tłumacza.

Wyjaśnia, że ta kobieta, ponad sześćdziesięcioletnia, jest poważnie chora. Ma amputowaną pierś, wysokie ciśnienie, stałe problemy z nogą. Zna już ją na tyle, aby wiedzieć kiedy jej sytuacja jest naprawdę poważna (w tym momencie z głośnika zabrzmiało uspokajające: „Okej, charaszo”). Gruzinka czy też Kurdyjka mieszka w Holandii sześć lat. Wciąż nie ma zezwolenia na pobyt stały, żyje więc jak wielu wychodźców życiem absurdalnym.



Ex-Jugosłowianin odczytał obecnym głósno z komputera przesłaną mu przed chwilą wiadomość: „Ines wyszła właśnie za mąż w Niemczech”. Spytałam z jakiego kraju pochodzi Ines.

– Z Angoli – odpowiedział, dodając dobroduszenie: „No i wszystko się teraz miesza”. Po chwili stwierdził, że oba nasze języki są tak bliskie, że po trzech miesiącach pobytu w Polsce nauczyłby się doskonale porozumiewać. Pomyślałam: ...czyżby?

Zacząłam pytać go o Tito.

– Jak jest pamiętany?

– Dobrze – odpowiedział natychmiast.

– Czy dom Tito stał się muzeum?

– Nie, ale na ułożonej przed domem płaszczynie z marmurowych płyt każdy kto chce może złożyć kwiaty.

Po chwili przywołał mnie przed ekran swego komputera. Już wyszukał informacje związane z Josipem Broz Tito.

Hasło „Tito” obfitowało w różne działy. Wybrał dział „Wizyty oficjalne”. Na ekranie zaczęliśmy oglądać przesuwające się szybko zdjęcia: Tito z Churchilem, z Ceaușescu, z Helile Selassie, z Chruszczowem, z Pawłem VI, z Idi Aminem. Prawie dwumetrowy Idi, Big

Daddy, jeden z najkrwawszych dyktatorów w historii, z charakterystycznym dla siebie szerokim uśmiechem pochylał się nad prezydentem Jugosławii.

Później oglądaliśmy zdjęcia Tito z okresu partyzantki; czarno-białe portrety w furazercie z gwiazdą, wykonane w porannym chyba słońcu na skraju lasu. Po nich ukazały się liczne zdjęcia barwne, głównie z lat siedemdziesiątych. Jedno przedstawiało Tito z żoną Jovanką podczas polowania, jedzących szaszłyki. Ex-Jugosłowianin nie zatrzymał się przy tym zdjęciu (jakby miał Jovance coś do zarzucenia) i szybko zmienił dział na: „Jego kobiety”.

Dział ten, nadszpejziewanie rozbudowany, zawierał obszerne biografie kilkunastu kobiet poprzedzone informacją, że Tito nawiązy-

wał seksualne kontakty z kobietami tak często jak było to możliwe i wszędzie gdzie było to możliwe. Końcówką była biografia Jovanki, drugiej żony, którą zaczęłam czytać, ale musiałam przerwać, gdyż do Ex-Jugosłowianina ktoś przyszedł; też z Bośni.

W dawnym pokoju nie istniejącego już działu *Multicultureel* wywiązała się rozmowa ogólna na temat: jak kto wygląda. Ex-Jugosłowianin pochwalił się, że w swoim kraju umiał bezbłędnie rozpoznawać pochodzenie. Powiedział, że ma typowe oczy Bośniaka, zielone

z brązowym. Obracając się półkolem pokazywał nam swoje oczy, z których wyraźnie był dumny.

Dyżurujący dziś w pokoju przy drzwiach (dział jest pilnowany) mężczyzna o skórze w jasnokremowym odcieniu z ciemną, pedantycznie wymodelowaną bródką, zaczął się śmiać, że go ciągle biorą za... (tu wymienił kilka narodowości). I nagle zwrócił się do mnie; miałam odgadnąć kraj jego pochodzenia. Wahalam się, bo wyglądał uniwersalnie. Aż ktoś mi litościwie szepnął: „Iran”.

Irańczyk stwierdził nonszalancko, że wszyscy ludzie rasy białej wyglądają tak samo. Okazaliśmy gwałtowne niezadowolenie. Jak to?! On nas widzi jako identycznych?!

Ex-Jugosłowianin pouczył go trochę żartobliwie, trochę ironicznie, że im dłużej będzie przebywał wśród ludzi białej rasy, tym więcej dostrzeże między nimi różnic.

Nawiasem mówiąc to, co wyróżniało Irańczyka spośród nas wszystkich, to nienaganne maniery. Do mnie zwracał się szczególnie uprzejmie, ale mogła to być grzeczność ostentacyjna, gdyż zamykając za sobą drzwi dawnego działu *Multicultureel* usłyszałam zbiorowy wybuch śmiechu.

JOANNA PASZKIEWICZ-JÄGERS

Ostródzkie media Część IV

Ostródzkim mediom, aby wywiązać się z zadania, trzeba by poświęcić kilka kolejnych części cyklu. Oczekują w kolejce media elektroniczne, tytuły prasowe w poszczególnych samorządach, organizacjach pozarządowych oraz wspomniana w pierwszym odcinku prasa szkolna. Tym razem zatrzymamy się nad mediami elektronicznymi.

Na ostródzkim rynku mediów elektronicznych od wielu lat działa Radio Mazury, TV Mazury, najdłużej działający portal społecznościowy w Ostródzie – OstrodaOnline.pl, Serwis Informacji Lokalnych – naszaostroda.pl czyli internetowe wydanie magazynu „Rozmaitości Ostródzkie” oraz portal Ostróda 2012 – www.ostroda2012.pl. Od niedawna na tej liście znalazły się strony internetowe parafii rzymskokatolickich (9), zborów protestanckich (4) i parafii greckokatolickiej (1).



Radio Mazury jest pierwszą w Polsce, a także w Europie Wschodniej międzywyznaniową rozgłośnią radiową nadającą swój program od 1992 roku. Radio założone i prowadzone jest przez Fundację Edukacji

Medialnej, której prezesem jest Ewa Bryćko. Swoje 24-godzinny program nadaje na częstotliwościach 101,5 FM w Ostródzie, 96,4 FM w Morągu i 89,4 FM w Olsztynku (powiat olsztyński).

Zasięg słuchalności to przeciętnie promień 50 km od anteny nadawczej lub przekątnikowej. Zatem Radio Mazury jest dobrze słyszalne poza granicami powiatu ostródzkiego. Profil stacji określa przede wszystkim lokalność. Dlatego większość tematów poruszanych na antenie dotyczy miasta, gminy wiejskiej, powiatu i regionu. Format muzyczny Radia określa hasło: „Muzyka najlepsza na Mazurach” (za: tunein.com/radio/Radio-Mazury-1015-s9978/).

Radio Mazury współpracuje z **Radiem WNET** – interaktywnym multimedialnym

portalem społecznościowym i radiem internetowym założonym z pomysłu i inicjatywy Krzysztofa Skowrońskiego i ludzi od lat związanych z mediami. Kontakt: 14-100 Ostróda, ul. Drwęcka 5, tel. 89 646 43 17, www.radiomazury.pl, https://de-de.facebook.com/RadioMazury.



Telewizja Mazury swoim zasięgiem obejmuje teren powiatów: ostródzkiego, działowskiego, nidzickiego, suskiego, iławskiego i nowomiejskiego.

Profil stacji określają wiadomości lokalne przekazywane na bieżąco, na żywo, wywiady, reportaże i bloki publicystyczne „Bez komentarza” i „Flesz tygodnia”, produkcje i retransmisje. Prezesem Telewizji Mazury jest Piotr Wasześcik. Redakcję tworzą Kamila Wiśniewska – redaktor naczelna (k.wisniewska@telewizjamazury.pl) i Martyna Lewandowska-Oliwa – dziennikarz (m.lewandowska@telewizjamazury.pl).

Siedziba redakcji i studio telewizyjne znajduje się w Ostródzie przy ul. M. Kopernika 8a, tel. 89 615 80 33, fax 89 615 80 32, e-mail: telewizjamazury@wp.pl, ostroda24@wp.pl; www.telewizjamazury.pl.



OstrodaOnline.pl to najdłużej działający portal społecznościowy w Ostródzie; obejmuje swoim zasięgiem Ostródę i okolice. Oferuje: informacje, wydarzenia, dyskusje, wywiady

radiowe, programy lokalnej telewizji, zdjęcia, panoramę, historię i czat. Pomysłodawcą i założycielem jest Jacek Piech.



Serwis Informacji Lokalnych – www.naszaostroda.pl jest internetowym odzwierciedleniem magazynu „Rozmaitości Ostródzkie” (o którym pisaliśmy już w pierwszym odcinku cyklu). Przedstawia informacje lokalne z Ostródy i okolic. Zawiera wiadomości, rozmaitości, informacje o firmach, rozrywkę, prognozę pogody i reklamę.

Wydawca: Wydawnictwo Drwęca Ryszard Bogucki. Redaktor naczelny: Włodzimierz Godlewski, redaktor serwisu internetowego: Adrian Godlewski, stali współpracownicy: Krzysztof Gordon Lenz i dr Wiesław Skrobot. Kontakt: 14-100 Ostróda, ul. H. Sienkiewicza 9, tel. 89 642 82 69, e-mail: wydawnictwo@drweca.ostroda.pl. Serwis internetowy: tel. 507 104 016, e-mail: naszaostroda@gmail.com.

Portal społecznościowy **Ostróda 2012** – www.ostroda2012.pl zawiera Biuletyn Informacji Publicznej, aktualności, galerię zdjęć, serwis z zakresu kultury, biznesu, sportu i turystyki. Znajdziemy wiadomości o mieście, można przejrzeć bazę noclegową Ostródy, rozkład jazdy ZKM z mapą miasta. Portal zaprasza również na wirtualny spacer po mieście.

Oprócz wymienionych, funkcjonują internetowe wydania tygodników lokalnych: „Gazeta Ostródzka” – **ostroda.wm.pl**, „Gazeta Morąska” – **morag.wm.pl** i „Nasz Głos” – **nasz-glos.com**.

ZBIGNIEW POŁONIEWICZ

Projekt realizowany jest przez Warmińsko-Mazurski Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Olsztynie w partnerstwie ze Związkiem Gmin Warmińsko-Mazurskich oraz Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych w Olsztynie w ramach zadania publicznego z zakresu kultury i ochrony dziedzictwa kulturowego pt. „Media lokalne Warmii, Mazur i Powiśla bodźcem rozwoju i integracji regionu”, współfinansowanego przez Samorząd Województwa Warmińsko-Mazurskiego



Rynek w Nowogródku

Kawiarnia „Rzym” na placu Lenina

Dla turystów, którym opatrzył się już Zachód, penetrowany przez nas dość powszechnie od 25 lat, proponuję wyprawy na Wschód. Zwłaszcza dla ludzi młodych może być on atrakcyjny przez swoje „zasiedzenie się” w okresie nieznanego im socjalizmu, a nawet komunizmu. Ot, chociażby na Białoruś. A jeśli na Białoruś, to obowiązkowo do Nowogródka. To *cittaslow* po białorusku.



Nowogródek

– pomimo że stara się zachować obraz ważnego przed wojną wojewódzkiego miasta, dziś jest średniej wielkości, sennym miastem ze starymi przedmieściami zabudowanymi drewnianymi domami, otoczonymi ogrodami. Niedaleko centrum gdzie przeważa zabudowa z lat siedemdziesiątych XX wieku, bezpośrednio za osiedlem bloków mieszkalnych wciśnięto małe pole, obsadzone ziemniakami i kapustą. Cała lewa część miasta to dawna dzielnica żydowska, bo Żydzi przed wojną stanowili 60 procent mieszkańców Nowogródka. Pozostał po nich cmentarz, wykopany przez nich tunel, którym uciekali z getta przy ulicy Mińskiej oraz dwa olbrzymie doły w pobliskim lesie, w których spoczywa ponad osiem tysięcy zastrzelonych Żydów. W miejscu zburzonej synagogi jest duży plac z tablicami prezentującymi fotografie miejscowych przodowników pracy.

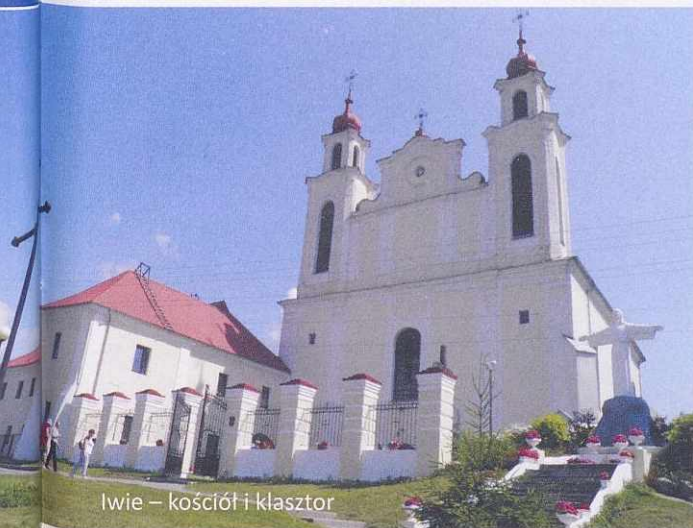
– Zawsze mnie dziwiło, że w żydowskiej dzielnicy znajduje się dom rodzinny Mickiewiczów. Aż gdzieś przeczytałam, że dom wraz z dodatkowymi budynkami i ziemią zwrócił ojcu Adamu, Mikołajowi, miejscowy Żyd Jankiel Joselewicz, który był mu winien sporo złota – opowiada Tamara Wierszycka, kurator Muzeum Historyczno-Krajoznawczego w Nowogródku, która ma zamiar sprawdzić



Dom Mickiewiczów, dziś muzeum



Tyle zostało z zamku w Nowogródku



Iwów – kościół i klasztor

to w archiwach. – Nic dziwnego, że tak dużą rekompensatę zasądził sąd w Nowogródku. Mikołaj Mickiewicz był przecież wziętym adwokatem w tutejszym sądzie.

Świadkiem wielowyznaniowości miasta jest też odnawiany właśnie meczet, w którym mo-



kawiarnia „Rzym” na placu Lenina

dlą się miejscowi Tatarzy oraz cerkiew Świętych Borysa i Gleba, będąca rozbudowanym kościołem katolickim, pochodzącym z XII wieku. W pustym wnętrzu świątyni uwagę zwraca tablica epitafijna Litwora Chreptowicza z Czors, zmarłego w 1641 roku z napisem w języku polskim, mówiącym o jego zasługach.

Piję kawę w kawiarni „Rzym” przy placu Lenina, czyli głównym rynku miasteczka i przeglądam w aparacie fotografie jakie zrobiłam pomnikowi Wysokiego, postawionemu nie tak dawno przy jednym ze skwerów. W kawiarni gości wita napis: „Mamy 10 lat”. Tak jej prywatni właściciele chwalą się, że tak długo udało im się przetrwać. Z okien kawiarni widzę piękny kościół św. Michała oddany wiernym równo dwadzieścia lat temu i pozostałość po klasztorze dominikanów, w którym uczył się Adam Mickiewicz.

Zbieram siły żeby wejść na kopiec Mickiewicza, usypany naprzeciwko

wzgórza zamkowego. Ponoć są projekty odbudowy jednego ze skrzydeł zamku, które zachowało się do XIX wieku, a dziś pozostały jedynie nędzne resztki murów. Z ruin zamkowych piękny widok na cały Nowogródek.

Na pierwszym planie jest wzgórze z kościołem farnym pw. Przemienienia Pańskiego, w którym ślub brał król Jagiełło i chrzczonego małego Adama, co poświadcza zapis w zachowanych księgach parafialnych. Kościół jest remontowany m. in. dzięki datkom płynącym z Polski. Dbają o niego Nazaretanki z klasztoru usytuowanego naprzeciw kościoła. Zgromadzenie zakonne przetrwało pomimo, że w czasie wojny Niemcy zastrzelili jedenaście Nazaretanek. Dziś w miejscu ich rozstrzelania w podmiejskiej Batorówce stoi duży drewniany krzyż.

Do Nowogródka często zaglądają Polacy, ale też pochodzący stąd Żydzi, którym udało się uciec z pogromu. W miasteczku od dwudziestu lat z powodzeniem działa prywatna spółka z kapitałem izraelskim.

Senny urok prowincji

Białoruś prowincjonalna jest monotonna. Kilometrami ciągną się wsie ulicówki z dwoma rzędami poszarzałych ze starości, drewnianych chałup krytych obowiązkowo powszechnym eternitem. Wzdłuż ulicy jak okiem sięgnąć ciągną się „ploty Łukaszenki” jak je nazywają Białorusini. Cementowe, kiczowate odlewy z kręconymi tralkami kazał bowiem stawiać właśnie wódz narodu. Są one absolutnie wszędzie: we wsiach, przysiółkach i przedmieściach miasteczek. Ploty Łukaszenki i eternit to najważniejsze wyznaczniki prowincjonalnego krajobrazu. No i jeszcze jedno co rzuca się w oczy: nawet w najmniejszej wioseczce jest bardzo czysto.

We wsiach odbudowywane są kościoły, które oddano wiernym. Budowane są też nowe cerkwie, że chociaż wymienię Brzozówkę, znaną nam z największej w przedwojennej Polsce huty szkła „Niemen”, w której wykonano kryształową urnę na serce Marszałka Piłsudskiego. Huta czynna jest do dziś, a otwarty przy niej sklep nastawiony jest – zważywszy na wysokie ceny – głównie na turystów. Z kolei w Koreliczach pod Mirrem, wzmiankowanych w *Panu Tadeuszu*, działała przed wojną duża manufaktura porcelany należąca do Radziwiłłów, jak też warsztaty broni artystycznej.

W Iwii kościół i klasztor Bernardynów jest świeżo po remon-

cie. Stał przed nim posąg Chrystusa, wypisz wymaluj jak ten w Rio, ale w mniejszym wydaniu. Parafię katolicką liczącą osiem tysięcy wiernych stać na to. Ale w Iwii znajdziemy też ulicę tatarską z meczetem i cmentarzem tatarskim oraz synagogę i stare domy żydowskie.

W kościele zamkowym rodu Gasztołtów w Gieranionach trwają prace konserwatorskie. Młody ambitny ksiądz pokusił się na kosztowne odsłanianie rokokowych malowideł. Ale zapewne warto. Coraz częściej zaglądają tu Polacy. W nieistniejącym już zamku poznali się Zygmunt August i mieszkająca tu Barbara Radziwiłłówna. Zachowały się też księgi parafialne z XVII wieku. Łukaszenka stawia na turystykę jest więc nadzieja, że znajdą się pieniądze na zakończenie prac konserwatorskich, których nie udźwignie parafia licząca 45 osób.

– Wioski wymierają. Co roku wykreślam z kartoteki kilku parafian. Tylko w tym roku wykreśliłem już czterech. Wieś jest kolchozowa i pomimo programu Łukaszenki nakierowanego na zatrzymanie fachowców w kolchozach, ludzie uciekają do miast – mówi młody ksiądz pochodzący z Iwii, który ukończył seminarium w Poznaniu.

Prowincja białoruska jest biedna i dlatego zapewne nic się tu nie zmienia. Ludzie na wsi mieszkają w drewnianych, przedwojennych chałupach przykrytych eternitem. W wielu wsiach nie ma kanalizacji, a wodę czerpie się jak przed wiekami ze studni. Wieś białoruska jest skansenem Europy. Tylko nikt nie kasuje tu biletów.

JOANNA WAŃKOWSKA-SOBIESIAK



Dom w Brzozówce



Nowogródek, meczet tatarski

Rok zerowy

Po wydarzeniach Marca '68 antyinteligentna nagonka rządzącej wówczas ekipy Władysława Gomułki, zaowocowała nie tylko przymusową emigracją wielu intelektualistów i ludzi kultury, lecz także poważnymi zmianami w szkolnictwie wyższym. Wprowadzono m. in. procedurę mianowania prawomyślnych adiunktów docentami, bez konieczności robienia habilitacji. Stąd nazywano ich ironicznie w środowisku akademickim „docentami marcowymi”.

W przypadku przyjmowania kandydatów na studia wprowadzono preferencyjne punkty za pochodzenie chłopskie lub robotnicze. Ponadto, przyjęci na studia kandydaci, zobowiązani byli do odbycia miesięcznej praktyki robotniczej w „gospodarce uspołecznionej”. Z odbywania takiej praktyki zwalniano w zasadzie tylko absolwentów szkół rolniczych.

Podczas rekrutacji kandydatów na studia w Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie, na rok akademicki 1969/1970, zostałem powołany przez dziekana Wydziału Zootechnicznego (którego byłem pracownikiem) na funkcję tzw. kierownika grupy studenckiej na cały 5-letni tok studiów.

Kandydaci, przyjęci po zdanych egzaminach wstępnych, do momentu złożenia ślubowania podczas inauguracji roku akademickiego, nazywani byli studentami „roku zerowego”. Jako kierownik grupy takiego roku miałem obowiązek być także opiekunem mojej grupy na praktyce robotniczej. Wraz z grupą podopiecznych skierowano mnie do Rolniczego Zakładu Doświadczalnego (RZD) w Łęczanach.

W piętnastoosobowej grupie było jedenaście dziewcząt, które zostały zakwaterowane w pałacu, natomiast czterech chłopców i mnie – w drewnianym baraku nad zatoką jeziora Legińskiego, w odległości kilkuset metrów od siedziby gospodarstwa. Barak ten, sprowadzony podobno z terenu „Wilczego Szańca” w Gierłozie k. Kętrzyna, zwany był „Wiktorówką” od imienia profesora chemii Wiktora Wawrzyczka (nazywanego przez studentów „Mistrzem”). Profesor był bowiem twórcą i wieloletnim opiekunem Chóru Akademickiego (zwanego „Wawrzyczkami”) oraz Akademickiego Związku Sportowego WSR. Natomiast w tym baraku odbywały się zarówno obozy kondycyjne AZS, jak i zgrupowania chóru.

Była to połowa sierpnia 1969 roku, a kampania żniwno-omłotowa jeszcze w pełni, gdyż opóźniona z powodu „przekropnej” (jak mawiali ongiś rolnicy) pogody. Było bowiem wówczas deszczowo i chłodno. W pierwszej więc połowie praktyki moi podopieczni byli zatrudnieni głównie w magazynie zbożowym przy szufłowaniu ziarna, pochodzącego z kombajnowania wilgotnych zbóż. Praca ta była szczególnie męcząca dla nienawykłych do pracy fizycznej dziewcząt, więc niektóre z nich popłakiwały ze zmęczenia. Chcąc zatem dodać im nieco otuchy, często pracowałem wraz z nimi.

Pod koniec sierpnia, gdy pogoda się poprawiła, studenci wykonywali znacznie lżejszą pracę na poletkach doświadczalnych. Dzięki temu miałem więcej czasu wolnego dla siebie. Wędrowałem więc niekiedy ze szkiełkownikiem po najbliższej okolicy. Zawarłem także znajomość z rezydującym w Łęczanach kierownikiem praktyk Zdzisławem Wątlą Karczewskim (herbu Samson), który rychło się ze mną zaprzyjaźnił.

Starszy ode mnie o trzydzieści lat Zdzisio (rocznik 1904), szczupły i wysoki, siwobrody Wielkopolek, w kapeluszu, z fajką i laską, z francuska wymawiający „r”, budził respekt i szacunek, a był świetnym gawędziarzem, bardzo łagodnym, otwartym na innych ludzi człowiekiem. Obaj byliśmy namiętymi kawoszami, więc najczęściej pijaliśmy porannego „szatana” w moim pokoju, gdy po pewnym czasie zamieszkałem w pałacu nieopodal jego mieszkania.

Był on zapalonym myśliwym, polującym na zwierzynę jedynie... okazała lornetka, którą miał zawsze zawieszoną na szyi. Magister inż. Zdzisław Karczewski był z zamiłowania ornitologiem, więc znawcą ptactwa wszelakiego (dlatego obdarzono go przydomkiem „Gil”), a z jego wiedzy w tej dziedzinie korzystali naukowcy WSR w Olsztynie, a także znany ornitolog dr Jan Sokołowski.

Chcąc uatrakcyjnić moim podopiecznym pobyt na praktyce robotniczej, zorganizowałem im spotkanie z redaktorami rolniczego tygodnika „Nasza Wieś” (z którym od kilku



Okolice Łęczan RYS. © ALEKSANDER WOŁOS

już lat współpracowałem), zaś pewnej niedzieli wycieczkę do pobliskiego Reszla oraz do „Wilczego Szańca” w Gierłozie, gdyż udało mi się wyjednać u dyrektora Zakładu mikrobuser marki „Nysa” do realizacji tego zamierzenia.

W Reszlu zwiedziliśmy m. in. zamek, w którym gospodarzami byli wówczas Basia i Andrzej Hulanicy, oraz czternastowieczny kościół Świętych Piotra i Pawła. I tu zdarzyła się zabawna sytuacja, gdy jedna z dziewcząt nie chciała wejść do kościoła mówiąc, że jest niewierząca. Powiedziałem więc do niej: „Bogusiu, nikt nie każe ci się modlić, więc potraktuj ten kościół jako zabytek kultury i dzieło sztuki”. I to dziewczynę przekonało, o czym wspomniała mi jeszcze po wielu latach, gdy spotkał się na zjeździe absolwentów tego rocznika.

ALEKSANDER WOŁOS



Studenci „roku zerowego” na wycieczce w Reszlu; w tle kościół Świętych Piotra i Pawła FOT. © ANDRZEJ KŁOS

Okiem satyryka

Wiem, gdzie jem?

*W gastronomii zawierucha,
Nie przeszkadza w zupie mucha,
Podejrzenia się nabiera,
Kiedy raptem od kelnera
Usłyszymy zwykłe... słucham.*

Uzależnienie

*Czy jest łatwo dziennikarzy
Uzależnić od sondaży?
Bo dla wielu polityków,
Sondaż lepszy od wyników.
Więc niejedni sobie marzy.*

ANDRZEJ ZB. BRZOWSKI



Tykocin po raz drugi!

Festiwal „Królewskie Śpiewanie” w Tykocinie już za nami. Podczas trzydniowego święta muzyki (1-3 sierpnia) artyści wykonali przeboje wielokrotnie grane na światowych estradach koncertowych. Recital piosenek z repertuaru Marleny Dietrich, przeboje muzyki operowej, ulubione melodie operetkowe i neapolitańskie oraz najśłynniejsze fragmenty z musicalu „Skrzypek na dachu” wypełniły program II edycji Festiwalu w Tykocinie, którego nasz miesięcznik był patronem medialnym.

Festiwal rozpoczął 1 sierpnia na dziedzińcu Alumnatu koncert „Lili Marleen”, podczas którego można było usłyszeć piosenki z repertuaru Marleny Dietrich.

W rolę tytułowej artystki wcieliła się Joanna Cortés (sopran) i wspólnie z współprowadzącym koncert Michałem Bogdanowiczem (baryton)

przybliżyła widzom sylwetkę śpiewaczki i aktorki. Akompaniatorami byli Mariusz Rutkowski (fortepian) oraz Adam Szydłowski (klarnet).

W sobotę impreza przeniosła się do zamku króla Zygmunta Augusta, a muzyka i śpiew odsłoniły przed uczestnikami Festiwalu świat największych operowych przebojów, które wykonali artyści Opery i Filharmonii Podlaskiej. Koncert poprowadził dyrektor OiFP Roberto Skolmowski. Licznie zgromadzona i żywiłowo reagująca publiczność wysłuchała utworów

z najpiękniejszych oper m. in. Walca Musetty z „Cyganki” Pucciniego, Barkarola z „Opowieści Hoffmana” Offenbacha, arii Alfreda

Wieczorem na Dziedzińcu Alumnatu melomani sztuki małej opery usłyszeli najpiękniejsze arie i duety z operetek, zagrano także ulubione melodie musicalowe i neapolitańskie. Koncert „Co się dzieje, oszaleję” otworzyli Joanna Cortés i Witold Matulka utworem „Barcelona” z operetki „Clivia” Dostala. Wykonano również m. in. arię Silvy z „Księżniczki Czardasza” Kálmána, „Adiós Nonino” i „Libertango” Piazzolli oraz tytułowy utwór „Co się dzieje, oszaleję!” z „Księżniczki Czardasza”.

W niedzielę artyści zadbali o artystyczną oprawę Mszy św. w przepięknym barokowym kościele parafialnym Trójcy Przenajświętszej, zagrali też koncert „Panis Angelicus”. Dopełnieniem festiwalowych wrażeń był koncert z fragmentami utworów

z musicalu „Skrzypek na dachu” Jerry’ego Bocka, podczas którego wystąpili artyści Opery i Filharmonii Podlaskiej: Karolina Kuklińska (mezzosopran), Monika Ziółkowska (mezzosopran), Rafał Supiński (tenor), Bartłomiej Łochnicki (baryton) i Grzegorz Szostak (bas) oraz Dorota Rosłaniec

(sopran) z towarzyszeniem Amadeusza Buczyńskiego (skrzypce).

Festiwal „Tykocin. Królewskie Śpiewanie” zorganizowany został przez Radio Nadzieja we współpracy z Operą i Filharmonią Podlaską – Europejskie Centrum Sztuki w Białymstoku.



i Germonta z „Traviaty” Verdiego czy duetu Papageno, Papagena z „Czarodziejskiego fletu” Mozarta. W koncercie wystąpili: Anna Wolfinger (sopran), Karolina Kuklińska (mezzosopran), Joanna Motulewicz (mezzosopran), Przemysław Borys (tenor), Taras Kuznych (baryton), Maciej Nerkowski (baryton). Przy fortepianie akompaniowała Anna Krzysztofik-Buczyńska.

Przegrywanie bez walki

Komentarzyk Jerzego Haszczyńskiego „Obudźcie się, Niderlandy” z drugiej strony dziennika „Rzeczpospolita” (24 VII 2014) powinien być szeroko popularyzowany i dobitnie komentowany, ponieważ odważnie, jak rzadko w naszych mediach, demaskuje obłudę i kunktatorstwo tzw. poprawnościowców.

Pisze mianowicie m. in.: „Jak to możliwe, że w obronie parady gejów Holandia angażuje się politycznie w innych krajach, a po zabiciu 200 jej obywateli nie chce łączyć tego mordu ze stosunkami politycznymi z Rosją. Jak można się obnosić, jak Holendrzy ze swoją wizją wolności, ze swoim prawem do eutanazji czy palenia marihuany, a jednocześnie ignorować dążenia do wolności i suwerenności Ukrainy, kraju, z którym Holandia jako członek Unii Europejskiej podpisała niedawno umowę stowarzyszeniową?”. I dalej publicysta pyta smętnie: „Skąd się bierze ten chłód elit, ich skrajny pragmatyzm?”.

Są to pytania pozornie retoryczne. Jednak ostatnie osłabia dosadność poprzednich i sugeruje, że chyba autor trzyma na uwadze swą odwagę publicystyczną dostosowując się do panującej w naszych mediach, oprócz internetowej wolnoamerykanki, konwencji eufemistycznej (to też byłoby echo poprawności politycznej?).

Holandia, jak i cała Zachodnia Europa, ze Stanami Zjednoczonymi już dawno straciła honor i ducha waleczności, zamieniwszy je na hedonizm i egoizm. A ponieważ dziedziczy wysoką kulturę, wypracowywaną przez ponad dwa tysiąclecia, to zakłamuje swe postępowanie nowo pojmaną „tolerancją”: udawaną troską o ludzi inaczej... kopolujących, zapładniających, umierających.

Tchórzostwo Zachodu jest nieustannie od 1938 roku przyczyną jego własnych i społeczności spoza tego regionu doznawanych cierpień.

W Monachium politycy Wielkiej Brytanii i Francji akceptowali zajęcie przez Hitlera części Czechosłowacji. Na marginesie, mieliśmy w tym udział. Odbieraliśmy wprawdzie nasze ziemie, ale przy okazji zbójckiego wyczynu Niemców. Po równo trzydziestu latach z innym zbójem i jego, jak my, jurgieltnikami rozjeżdżaliśmy czołgami czechosłowackie pragnienia wolności. Mają nas za co Czesi nie lubić...

W Teheranie, Jałcie, Poczdamie Zachód bez zająknięcia dawał Rosji sowieckiej, czego chciała. W Norymberdze sądząc zbrodniarzy wojennych pominął ludobójstwo rosyjsko-sowieckie. Prokurator amerykański miał podobno przygotowane oskarżenie Rosji o zbrodnię w Katyniu (o innych jeszcze nie wiadomo),



lecz pod wpływem nacisków sowieckich, do których dołączyły się celowo rozdmuchiwane wiadomości mediów Polski o pogromie kieleckim – nie wniósł go do Trybunału.

z przerażającą dokładnością. Autor pisze m. in.: „Teraz wyrucił się do góry nogami nasz świat. To, co niegdyś było słuszne i prawdziwe, dzisiaj jest fałszem i złem. To, co niegdyś było niemoralne i karygodne – swoboda seksualna, aborcja, eutanazja, samobójstwo, stało się postępowe i chwalebne. Nietzsche nazwał to przewartościowaniem wszystkich wartości: dawne cnoty stają się grzechem, dawne grzechy stają się cnotą”.

Przypomina się tutaj, może nie na miejscu, jedna z powieści Tadeusza Konwickiego, gdzie narrator, porte-parol autora, ironicznie nazywa przeżyte czasy lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych bezgrzesznymi. Wydarzenia z początku naszego wieku, a zwłaszcza ostatniego roku, są konwekcją owej „bezgrzeszności”.

– Nowy hedonizm najwyraźniej nie potrafi zaoferować ludziom żadnego poczucia celowości życia – pisze Buchanan. – Pierwsze owoce, jakie wydał, zdają się być trujące. Czy ta nowa, „dająca poczucie swobody” kultura, którą młodzi przyjmują z [...] entuzjazmem, okaże się najgroźniejszym, śmiertelnym wirusem? A jeśli, jak utrzymuje papież i co najwyraźniej potwierdzają statystyki, na Zachodzie zapanuje „kultura śmierci”, czy zachodnią cywilizację czeka równie niechlubny koniec jak imperium Lenina?

Ta groźba okazuje się dziś przedwczesna w tym sensie, że mocarstwo bolszewickie zaczyna się właśnie na naszych oczach odradzać. I od razu straszyl Siergiej Markow, utytułowany politolog rosyjski mówi „Rzeczpospolitej” (31 VII 2014, s. B4), twardym językiem bolszewickim, że „na agresję (sic!) sankcji zachodnich Rosja odpowie agresją, ale niekoniecznie będzie to agresja gospodarcza; Donieckiej Republice Ludowej trzeba jak najszybciej okazać pomoc militarną”.

Tymczasem człowiek Zachodu jest mięciutki jak plastelina. „Uwolniony od obowiązku – wywodzący Buchanan – cywilizowania i chrystianizowania ludzkości, pławiąc się w luksusie i rozpasaniu [...] pogodził się z nieuchronnie nadciągającą śmiercią”. Dlatego nie chce widzieć niebezpieczeństwa powtórzenia się tego, co nastąpiło po Monachium 1938 roku.

Nie wie, że gdyby dawniej, powiedzmy przed I wojną światową, jakieś państwo naszej cywilizacji popełniło zbrodnię porównywalne

Krzysztof Kąkolewski w *Cmentarzu umarłych* i Bohdan Urbankowski przedstawiają przekonujące dowody, że zbrodnia kielecka na Żydach była wyłącznie sprowokowaną grą polityczną, mającą ukazać Zachodowi Polaków niewartych jakiegokolwiek sprawiedliwości, gdyż byli współsprawcami „ostatecznego rozwiązania”. Dzisiejszymi niedobitkami tej stalinowskiej propagandy są, pomijając rzecz jasna domorosłego historyka Jana Tomasa Grossa, prof. Paweł Machcewicz i Konstanty Gebert. Kilka lat temu pisali na łamach niezastąpionej w tego rodzaju enuncjacji „Gazety Wyborczej”, że „w wymordowaniu Żydów Polakom przeszkodziła jedynie pogarda, jaką byli darzeni przez Adolfa Hitlera. [...] Porównywanie kolaboracji francuskiej czy ukraińskiej z brakiem kolaboracji w Polsce jest jednak o tyle chybione, że to Hitler nie chciał mieć Polaków za swoich kolaborantów [...]. Hitler wzgardził ich ofertą”...

Politolog i publicysta amerykański Patrick J. Buchanan na początku naszego stulecia wydał książkę *Śmierć Zachodu*. Spostrzeżenia Amerykanina sprawdzają się dzisiaj



z zestrzeleniem samolotów pasażerskich, to pozostałe kraje uznałyby ten czyn za *casus belli*. Na początku lat 80. Rosja sowiecka zestrzeliła nad Sachalinem południowokoreański samolot pasażerski i zginęło prawie 300 osób, bo, jak obwieściła Agencja TASS, były w nim zainstalowane urządzenia szpiegowskie. Politycy Zachodu uwierzyli w te tłumaczenia, ponieważ lęk przed ZSRS paraliżował, jak dzisiaj przed Rosją, umysł i wolę. A cztery lata temu nad Smoleńskim rozpadł się samolot z polskimi politykami najwyższej rangi państwowej. I znów był *casus belli*. Ale boimy się wojny, choć Zachód i tak umiera bez niej.

Zachód sankcjami nie przezwycięży imperialnych, po trupach, dążeń Putina. Satrapa rosyjski zdaje sobie sprawę jak Piotr I i Katarzyna II, że bez Ukrainy i Polski Rosja stałaby się ponownie małym krajem europejskim z wielkimi terytoriami azjatyckimi, które z czasem byłyby jej kulą u nogi. To też Rosja nigdy z Ukrainy nie zrezygnuje. Może zestrzelenie malezyjskiego samolotu pasażerskiego było nowym, zbrodniczym, testem Putina na zachowanie dzisiejszego Zachodu, jak dla Niemców Monachium 1938 roku dla ówczesnego?

Piłsudski po rozpoczęciu przez Niemcy zbrojeń proponował Francji wojnę prewencyjną. Francja stchórzyła. We wrześniu 1939 roku razem z Anglią stchórzyła po raz drugi. Za oba tchórzostwa zapłacił wkrótce cały świat. A dziś Francja ma odwagę produkować dla Rosji wysokiej klasy sprzęt wojskowy. Czy może być w stosunkach międzynarodowych coś bardziej wstydlivego?

Czy jest jakaś rada na radykalne, acz niewojenne, by do wojny właśnie nie dopuścić, powstrzymanie agresji rosyjskiej? Trzeba odwagi i wyrzeczeń hedonistycznych. Zerwanie przez kraje Unii Europejskiej i Stany Zjednoczone, nie zważając na obniżenie poziomu życia (hedonistycznego) społeczeństw, stosunków dyplomatycznych z Rosją putinowską wydaje się jednym wyjściem z politycznego impasu.

Gdyby państwa Unii i USA solidarnie wycofały swe przedstawicielstwa w Rosji i zlikwidowały rosyjskie u siebie – Rosja znalazłaby się w izolacji totalnie paraliżującej jej politykę. Możliwe, że zaczęłyby nanizac jakieś porozumienia z Chinami lecz to partner trudny, nawet, a może zwłaszcza, dla niej. Aliansy rosyjsko-chińskie byłyby oczywiście nader groźne dla umierającego z przesyty, nadmiaru przyjemności i ze strachu Zachodu, ale może groźba zagłady cywilizacji wykrzesalaby wreszcie ze społeczności zachodniej ducha walki o zachowania własnej, nieskażonej cynicznym hedonizmem kultury chrześcijańskiej.

Chwała Haszczyńskiemu że piętnuje małoduszność Holendrów. I, jeśli dobrze rozumiem, Holandia w jego ujęciu jest symbolem całej Unii Europejskiej i USA. Żaden pojedynczy kraj nie zdobędzie się na odwagę zerwania stosunków politycznych z Putinem. Ale wszystkie razem byłyby do tego zdolne.

Tylko że wedle Buchanana Zachód umiera. Jeżeli to prawda, to, co będzie dalej?

JACEK WEGNER

Erudycyjna historia prasy światowej

Książka, której lekturę rekomenduję Czytelnikom „Bez Wierszówki” to *Szkice z dziejów prasy światowej* Władysława Wolerta, wydana w Krakowie w 2005 roku, dzieło pokaźnej objętości, liczące 463 strony, które nim doczekało się publikacji, przechodziło burzliwe i skomplikowane losy. Równie niezwykła i owiana tajemnicą jest postać jej autora, dlatego nim przejdę do charakterystyki książki, warto nieco przybliżyć zarówno historię jej powstania, jak i sylwetkę samego Władysława Wolerta.

Dzieło Władysława Wolerta, któremu jak wspomina Marian Tyrowicz we wstępie „Życie i twórczość Władysława Wolerta” autor nadał nieadekwatny tytuł *Porrównawcza historia prasy światowej* – przez trzydzieści lat od śmierci autora czekało na zwrócenie nań uwagi miarodajnych środowisk naukowych. Powstanie w Krakowie Ośrodka Badań Prasoznawczych i rozwinięcie w nim szczególnie intensywnie pracującej Sekcji Historii Prasy – uczyniło aktualnym zadaniem zbadanie zawartości opasłego tomu i obmyślenia możliwości publikacji. Zlikwidowanie Sekcji w 1959 roku odwołkło to zadanie; dopiero uchwałą Rady Naukowej Ośrodka podjętą w 1971 roku (!) – postanowiono przystąpić do realizacji wydawniczej. W roku 1977 w formie powielaczowej (kto z młodszych Czytelników wie o czym mowa?) w niskim nakładzie, przeznaczonym na wewnętrzne potrzeby Ośrodka Badań Prasoznawczych, dzieło ujrzało światło dzienne. Właściwa edycja erudycyjnego dzieła Wolerta, na podstawie rękopisu znajdującego się w Bibliotece Jagiellońskiej, nastąpiła dopiero w 2005 roku, pozwalając docenić ogrom pracy, jaką wykonał polski historyk prasy światowej.

Urodził się 24 stycznia 1890 roku w Warszawie, nie wiemy, gdzie i na jakim kierunku ukończył studia wyższe. Jego życie, co warto podkreślić, do dziś stanowi dla historyków trudną do rozwiązania zagadkę, zwłaszcza wobec braku jego *curriculum vitae* w aktach byłej Wolnej Wszechnicy Polskiej, w której pracował na stanowisku docenta. Wiadomo, iż Wolert (jego prawdziwe rodowe nazwisko brzmiało Kaczmarek, zmiany nazwiska dokonał na życzenie teściowej Zofii Dygasińskiej, żony pisarza Adolfa Dygasińskiego) na Wydziale Humanistycznym Wolnej Wszechnicy Polskiej wykładał w latach 1920-1937 historię i teorię dziennikarstwa, zarys historii publicystyki polskiej XIX wieku, organizację prasy współczesnej, reklamę w dziennikarstwie. Równocześnie prowadził seminarium z tego



zakresu; pod jego okiem kształciło się wiele młodych talentów, które wybiły się w następnych latach na polu prasy i publicystyki.

Kiedy prace jego poprzedników „oscyłowały między opisowym, statystycznym i historycznym ujęciem rozwoju prasy w Polsce – Wolert w swoich studiach sięgał do psychologicznych, etycznych i socjologicznych

podstaw służby informacyjnej i publicystyki w wielkim stylu” (s. VIII). Dodatkowo zajmował się redakcją zbiorowego wydania pism Adolfa Dygasińskiego, w latach 1926-27 jako edytor przygotował 16 tomów. W 1939 roku ukazała się nowa edycja w 30 tomach *Pism*, z podtytułem *Pierwsze wydanie zbiorowe*. Współpracował z szeregiem pism literackich, głównie w dziedzinie krytyki i historii prasy. Znana jest jego ostra polemika z innym polskim historykiem prasy Stanisławem Jarkowskim, który wykładał dziennikarstwo w prywatnej Wyższej Szkole Dziennikarskiej, na temat celowości utworzenia Instytutu Prasoznawczego, gdyż Wolert twierdził, że brak jest w kraju kadr naukowych, mogących współtworzyć Instytut.

Książka Władysława Wolerta mieści się w nurcie prężnie rozwijającego się prasoznawstwa jako jednej z dyscyplin nauk społecznych, wchodząc w skład nowej nauki, jaką jest medioznawstwo. Autor oparł ją o rozległą wiedzę w zakresie faktografii historycznej, monografia jest w istocie szeregiem szkiców – esejów dotyczących różnych aspektów dziejów prasy, co ważne dla współczesnego odbiorcy, zawierającą wiele anegdot i interesujących ciekawostek, które czynią lekturę przystępną i pociągającą.

Jedyną jej wadą, z punktu widzenia dzisiejszego badacza prasy, jest brak źródeł literaturowych, na których się oparł Wolert, a które by pozwoliły sprawdzić autentyczność wielu jego sformułowań. Skądinąd wiadomo, iż autor dysponował dużą biblioteką, a także kartoteką zawierającą kilkanaście tysięcy opisów, wyciągów dokumentacyjnych, które uległy zniszczeniu w powstańczej Warszawie.

Władysław Wolert zmarł w 1946 roku nie doczekawszy się wydania swojego dzieła życia. Edycja z 2005 roku jest, co prawda niedoskonałym, ale spełnieniem jego marzeń o upowszechnieniu zgromadzonej wiedzy na temat historii rozwoju prasy światowej.

MAREK SOKOŁOWSKI

Policjanci piszą, gazety drukują

Odwiedzając jakieś miasto, zawsze staram się kupić lokalną gazetę. Prawie w każdym lokalnym piśmie jest prowadzona rubryka kryminalna, którą czytam namiętnie. Dlaczego? Bo to najliczniejsze źródło dziennikarskich lapsusów, czasami nadających się wprost do rubryki: „humor z policyjnych raportów”, bo niestety redakcje dosłownie przedrukowują policyjne protokoły, a te pisane są polszczyzną, która zdradza, że autor ukończył studia wyższe.

Tak bardzo twórczości policjantów się nie dziwię. Bardziej dziwię się redaktorom, którzy nie potrafią adiustować tekstów. Czasami redakcja wprost podpisuje, że dana notatka jest autorstwa policjanta lub raportem Komendy Powiatowej Policji, ale czasami drukuje to jako tekst własny, najczęściej podpisany „red.” stąd większa odpowiedzialność za powielanie błędów gramatycznych, logicznych czy stylistycznych.

Ostatnio nabyłem „Głos Pasłęka. Prywatną gazetę niezależną” numer lipcowy, gdzie ostatnia strona ma tytuł: „Policja informuje”. Autorem notatek jest zastępca komendanta Komisariatu Policji w Pasłęku podinsp. mgr inż. Mirosław Suchodolski. Policjant podał 12 notatek opisujących pracę miejscowych policjantów.

Resortowy żargon jest zdumiewający, bo policjanci zawsze osiągają swój sukces w wyniku czegoś tam... Przykładowo: „w wyniku podjętych czynności służbowych funkcjonariusze Referatu Kryminalnego ustalili i zatrzymali sprawcę tego przestępstwa”. W następnej notatce mamy: „w wyniku czynności operacyjnych ujawnili nielegalne przyłącze”, ale może być inna wersja: „w trakcie wykonywania obowiązków służbowych ujawnili w garażu 73 butelki alkoholu”... ujawnić butelki, ot co za pomysł. Choć tu mamy pewien skrót, bo w innej notatce jest: „w wyniku czynności służbowych ujawnili nielegalne przyłącze”, a przecież mogłoby być: w wyniku podjętych czynności służbowych, jak jest w innych notatkach, bo policjanci nie pracują, nie interweniują, oni podejmują czynności służbowe.

Czy redaktora miesięcznika nie razi ten służbowy, ciągle się powtarzający styl? Czy nie można napisać wprost: policjanci zatrzymali włamywacza lub odkryli nielegalne przyłącze prądu. Dokładność opisu w policyjnych raportach nie dziwi, bo trafia taki raport do prokuratury, a potem może i do sądu, więc szczegóły są ważne. Ale ten styl jest przeuroczy. Bo jak nie uśmiechnąć się czytając taką notatkę: „Dwaj sprawcy, w uprzednim doprowadzeniu pokrzywdzonego do stanu bezbronności, zadając mu uderzenia rękami i kopiąc młodego mężczyznę, mieszkańca

gm. Rychliki zabrali mu telefon komórkowy o wartości 250 zł. Dokonanie rozboju zagrożone jest karą do 12 lat pozbawienia wolności”.

Podobne wydarzenie policjant opisał jeszcze barwniej: „Sprawcy bez żadnego powodu poprzez uderzenie pięściami i kopanie nogami pokrzywdzonego po całym ciele spowodowali u niego szereg obrażeń, w tym złamanie nogi. sprawcom grozi kara do 3 lat pozbawienia wolności”.

Czy można kopać rękami, chciałoby się logicznie zapytać, skoro czytamy o kopaniu nogami. Po drugie, czytelnik może być lekko zaskoczony, że za jedno pobicie grozi do 12 lat więzienia, a za drugie tylko 3. Policjant mógłby wyjaśnić, że być może pierwsze przestępstwo zostało zakwalifikowane jako rozbój, czyli pobicie z rabunkiem, a drugie jako uszkodzenie ciała i stąd inna kwalifikacja prawna. Bo czytelnik chyba odczuwa, że wysokość tych kar jest dziwnie nieproporcjonalna.

Nabyłem też „Niezależny tygodnik lokalny ziemi morąskiej. **Morağ. Głos Nasz**”. Tu natrafiam na dwa kryminałki. Jeden bez autorskiego podpisu zatytułowany: „Funkcjonariusz Straży Granicznej uniemożliwił pijanemu kierowcy dalszą jazdę”. Taki jest długi tytuł, a w tekście przeczytałem: „Mężczyzna uniemożliwił Dariuszowi P. dalszej jazdy...”, że nie jest to zwykła pomyłka świadczy powtórzenie tej formy w krótkiej notatce... „uniemożliwił mu dalszej jazdy zatrzymują go”. Redakcja przepisała policyjną notatkę, dała poprawny językowo (choć dziennikarsko fatalny) tytuł, ale policja ma nie tylko swoją własną logikę, ale też i gramatykę.

Drugą notatkę o tematyce kryminalnej zatytułowano „Kłusownicy zatrzymani na gorącym uczynku”. Została podpisana „Źródło KWP”. W 36-wierszowej notce aż trzykrotnie podano, że kłusownikom grozi „kara nawet do 2 lata pozbawienia wolności” i to potrójnie informacji w notatce zajmuje aż 10 wierszy! Przeczytałem też: „Do zdarzenia doszło rano w okolicy Jeziora Narie położonego w gminie Miłakowo”. Tylko, że nie podano w jakim dniu miało miejsce do zdarzenie, wiemy że rano, nie wiemy też na jakim jeziorze złapano kłusowników. Tak to bywa z tą policyjną dokładnością, nie wiemy kiedy, nie wiadomo gdzie, ale aż trzykrotnie podano, że za to przestępstwo grozi dwa lata więzienia, przepraszam, „pobawienia wolności”, bo to jest oficjalny język policji.

Przeglądając tygodnik zauważyłem notatkę o wycieczce dzieci z TPD z Morağa do Warszawy, gdzie punktem programu „było zwiedzanie Łazienek, a następnie stadionu 10-lecia. Stadion zwłaszcza na chłopcach zrobił niesamowite wrażenie”. Sądzę, że nie tylko na chłopcach

nieistniejący stadion zrobił wrażenie, bo został rozebrany w roku 2008. Chyba od tego czasu żaden dziennikarz lokalnej gazety nie odwiedził stolicy i nie zobaczył Stadionu Narodowego stojącego na miejscu dawnego 10-lecia. I jeszcze jedna nieprawdziwa informacja. Poinformowano i pokazano na zdjęciach uroczystość „40-lecia sprawowania funkcji proboszcza ks. Władysława Wesołowskiego” z Małdyt. Takie lokalne wydarzenie, a jednak tu można było wszystko sprawdzić na miejscu. Ks. Wesołowski obchodził 32 rocznicę swego proboszczowania i 40-lecie kapłaństwa. Taka subtelna różnica.

Konkurencyjna „Gazeta Morąska” (dodatek do „Gazety Olsztyńskiej”) też zamieściła notatkę o pijanym kierowcy podpisana jednak „red.”. I powtórzyła te same błędy gramatyczne: „Mężczyzna uniemożliwił Dariuszowi P. dalszej jazdy i przekazał funkcjonariuszom”, dalej mamy to samo powtórzenie: „uniemożliwił mu dalszej jazdy zatrzymują go”. Tylko „Gazeta Morąska” podała źródło informacji, a jest nim podkom. Bożena Bujakiewicz „z komendy Powiatowej policji w Ostródzie”, cytuję, bo zdumiewa mnie ten zapis nazwy własnej podany małymi literami. Może pani podkomisarz ma problemy z polską gramatyką, ale że jej błędy powielają aż dwie redakcje to zdumiewa.

W tym samym numerze „Gazety Morąskiej” (nr 27 z 4-10 lipca) mamy drugi kryminałek o włamaniu „do jednego ze sklepów na terenie gminy Zalewo”. Czy nie można podać, w jakiej miejscowości to faktycznie było? Informacja podpisana jest „red”, ale po stylu widać, że jest powieleniem policyjnej twórczości. Wpierw jest streszczenie informacji, potem rozwiniecie z podaniem tych samych faktów tymi samymi słowami, czyli powtórzenie tego, co było w akapicie wyżej. Poinformowano, że zatrzymano czterech włamywaczy, w stosunku do dwóch zastosowano dozór policyjny w postaci meldowania się trzy razy w tygodniu „w Posterunku Policji w Zalewie”.

Dawniej pisano: meldować się na posterunku, ale policja ma własne zasady pisowni, a redaktorzy pism lokalnych boją się poprawić urzędniczą twórczość. Tylko chciałoby się zapytać, czytając tę notkę, co z pozostałymi dwoma ujętymi włamywaczami? Niestety gazeta już o tym nie informuje. Być może ta wiadomość objęta jest policyjną tajemnicą, jak objęto tą tajemnicą miejscowości włamania do sklepu. Bo policja ma swój styl działania, informowania i kontrolowania także. Tylko dlaczego temu stylowi ulegają dziennikarze lokalnych mediów? To także jest tajemnicą zawodową i policjantów i dziennikarzy.

JAN ROŚLAN



Pożegnaliśmy bohatera

Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego a potem Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” w Rzeszowie. Wspierał NSZZ „Rolników Indywidualnych”. Sygnatariusz Porozumień Ustrzyckich. Należał do krytyków zarówno Lecha Wałęsy jak również Kuronia i Michnika. Poglądy Kopaczewskiego zbliżyły go do MKZ Katowice.

Na forum Krajowej Komisji Porozumiewawczej współpracował z Andrzejem Rozplochowskim z Huty Katowice. Był członkiem Komisji Krajowej. Po wyjściu z internowania włączył się w struktury konspiracyjne. Walczył nie o komunizm z ludzką twarzą a o niepodległość Polski. Widząc dokąd zmierza sterowana przez „doradców” podziemna „Solidarność” wstąpił do „Solidarności Walczącej” („SW”). Został przewodniczącym Oddziału „SW” Rzeszów. Był przeciwnikiem „okrągłego stołu”. Krytykował politykę III RP.

Pamiętam nasze dyskusje jeszcze w 1981 roku. Później spotkaliśmy się w podziemiu.

Wiele razy wizytowałam „SW” w Rzeszowie. Pomimo częściowego zainwigilowania kierownictwa „SW” nigdy nie miałam kłopotów. Stosował akowskie metody zabezpieczeń. Mieszkałam na przedmieściach i tylko on wiedział gdzie się zatrzymuję. Nigdy nie zapowiadał mojej obecności na konspiracyjnym spotkaniu. Ostrzegł mnie informując, że nie wszystkim dowierza. Dokumenty IPN potwierdziły jego przypuszczenia, TW „Elżbieta” tkwił w rzeszowskiej strukturze.

W III RP Antoni Kopaczewski pozostał nieprzejeđnany. Przestrzegał przed polityką prowadzącą do niszczenia państwa. Został odznaczony przez Prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Zmarłego 2 sierpnia 2014 roku Antoniego Kopaczewskiego pożegnaliśmy ze wszystkimi honorami 8 sierpnia. Spoczął w alei zasłużonych na cmentarzu na Wilkowyji w Rzeszowie.

JADWIGA CHMIEŁOWSKA

Odszedł jeden z najodważniejszych Polaków. Antoni Kopaczewski urodzony w 1941 roku był synem żołnierza AK, który po roku 1945 roku nie złożył broni. Ojciec, również Antoni Kopaczewski ps. „Lew” zginął w obławie przeprowadzonej przez UB w 1946 roku. Był podkomendnym „Zapory” mjr. Hieronima Dekutowskiego.

W sierpniu 1980 roku Antoni Kopaczewski brał udział w strajku. Został przewodniczącym

Odszedł Człowiek Pierwszej „Solidarności”

Wnocy z 11 na 12 sierpnia zmarł w Olsztynie Edmund Łukomski, działacz „Solidarności”, współorganizator i przewodniczący MKZ Olsztyn, a następnie członek prezydium aż do stanu wojennego. Był delegatem na I WZD Regionu Warmińsko-Mazurskiego, a także członkiem olsztyńskiej delegacji na Zjeździe „Solidarności” w Gdańsku Oliwie.

17 grudnia 1981 roku internowany w Zakładzie Karnym w Iławie, a następnie wraz z Andrzejem Boberem i Elżbietą Obiedzińską aresztowany pod zarzutem zagarnięcia pieniędzy związkowych, które zostały zdeponowane u kapelana „Solidarności” ks. Juliana Żołnierkiewicza. Bardziej znana była analogiczna sprawa ukrycia przez służbami PRL-owskimi majątku związkowego przez działacza dolnośląskiej „Solidarności” Józefa Piniora. Ostatecznie sprawa Łukomskiego została umorzona, ale on

sam został ponownie internowany i zwolniony dopiero w grudniu 1982 roku.

Edmund Łukomski od 30 lat mieszkał w Kanadzie, dokąd wyjechał z rodziną w stanie wojennym, w kilka miesięcy po zwolnieniu z internowania, z powodu braku pracy, ciągłych szykan i represji komunistycznych służb bezpieczeństwa. W latach 1983-85 pracował jako mistrz mechanik w Jumbo Express Ltd., a w latach 1985-2007 elektryk w Brotherhood of Electrical Workers, od 2007 roku przebywał na emeryturze.

Przez cały czas starał się utrzymywać kontakty z krajem, z rodzinnym Inowrocławiem oraz naszym regionem, z którym związał swoje dojrzałe życie zawodowe i działalność społeczną. Do Polski przyleciał z żoną na dwutygodniowy wypoczynek w lipcu tego roku. Śmierć doścignęła go w Olsztynie, dokąd przyjechał na spotkanie z przyjaciółmi z „Solidarności”.



19 sierpnia Edmund Łukomski spoczął w alei zasłużonych na cmentarzu komunalnym w Olsztynie.

Pożegnaliśmy odważnego i oddanego sprawom społecznym Człowieka Pierwszej „Solidarności”.

Cześć Jego Pamięci!

BOŻENNA ULEWICZ

REDAKTOROWI I PREZESOWI
WARMIŃSKO-MAZURSKIEGO ODDZIAŁU
STOWARZYSZENIA DZIENNIKARZY POLSKICH

KSIĘDZU
IRENEUSZOWI ST. BRUSKIEMU

SERDECZNE WYRAZY WSPÓLCZUCIA
W ZWIĄZKU ZE ŚMIERCIĄ

OJCA

SKŁADA

Zarząd Główny
Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

Zarządowi Głównemu
Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Warszawie
Koleżankom i Kolegom
– Członkom Oddziału SDP w Olsztynie
oraz wszystkim Przyjaciółom i Znajomym
z serca dziękuję
za wyrazy współczucia
i udział w pogrzebie mojego Taty

Franciszka Alfonsa Bruskiego

Ireneusz St. Bruski



Z miłości

Oczywiście, mogliśmy poddać się wieloletniemu leczeniu, jednak nie było gwarancji, że zakończy się to przyjęciem na świat upragnionego dziecka – mówi Małgorzata Maciocha. – Pomyśleliśmy wtedy, że na świecie jest tyle maleństw porzuconych, skrzywdzonych przez los, którym możemy dać

miłość i prawdziwą rodzinę. Dziś jesteśmy szczęśliwi, choć nasz adoptowany synek jest niepełnosprawny. Rehabilitujemy go dzięki Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”.

Małgorzata i Marcin Maciochowie wkrótce po ślubie postanowili powiększyć rodzinę. I tu zaczęły się problemy. Upragniony potomek nie zamierzał przyjść na świat. Po przemysłeniach i nieudanej próbie leczenia uświadomili sobie, że są w stanie pokochać dziecko, które już gdzieś się urodziło. Trafili do Ośrodka Adopcyjnego w Radomiu. Po kilku miesiącach spotkań i przygotowań, dostali wiadomość, że jest chłopiec, który potrzebuje rodziców.

Pierwszy raz zobaczyli Pawełka, kiedy miał cztery tygodnie. Powitał ich donośnym krzykiem, tak jakby przeczuwał, że zjawili się jego przyszli rodzice. Serce ścisnęło się na widok uroczego maluszka, który został sam na świecie. Już w dwa tygodnie później Pawełek trafił do nowej rodziny.

Diagnoza przyszła za późno

Zabierając dziecko do domu państwo Maciochowie zdawali sobie sprawę, że nie jest ono całkiem zdrowe. – Było podejrzenie, że Pawełek ma nie zarośniętą „dziurę” w sercu, która normalnie zarasta się u dzieci pod koniec ciąży lub w najbliższym czasie po porodzie – wspomina pani Małgorzata.

Młodemu małżeństwu zupełnie to nie przeszkadzało. Spełniło się ich marzenie – mieli swoje maleństwo!

Gdy Pawełek miał 4,5 miesiąca pojechali z nim na do pobliskiego miasteczka, gdzie przyjęła ich doświadczona lekarz pediatra. Poprosili, aby sprawdziła, czy dziecko prawidłowo się rozwija. Lekarka długo badała dziecko, przewracała je z brzuszka na plecy, z pleców na brzusek. W końcu stwierdziła, że nie widzi niczego niepokojącego.

– Uwierzyliśmy i zmarnowaliśmy wiele miesięcy, podczas których nasz synek mógł być rehabilitowany – opowiadają z goryczą rodzice. – Nie mieliśmy wtedy dostępu do Internetu, zresztą trudno było nie wierzyć doświadczonej pani doktor.

Pawełek skończył rok, ale nie robił żadnych postępów w chodzeniu. Zaniepokojeni rodzice udali się z nim do lekarza pierwszego kontaktu. Usłyszeli, że mogą otrzymać skierowanie do ortopedy, ale właściwie nie ma takiej potrzeby, ponieważ „dziecko zdąży się jeszcze nachodzić”.

Prawidłową diagnozę postawiła dwa miesiące później pani profesor w Warszawie. Stwierdziła u Pawełka mózgowie porażenie dziecięce. – Nie mam żadnych zastrzeżeń do jej kompetencji, ale mogła nam to przekazać w inny sposób – skarży się pani Małgorzata. – Stwierdziła, że z tego dziecka „nic nie będzie”.

Zacząły się wyjazdy do lekarzy różnych specjalizacji, rehabilitantów, ośrodków rehabi-



FOT. © ARCHIWUM PRYWATNE

litacyjnych, szpitali. Na początku trafili do Centrum Zdrowia Dziecka w Międzylesiu. Okazało się także, że Pawełek ma uszkodzony wzrok, częsta wada u dzieci z uszkodzeniami neurologicznymi. Później odbywali rehabilitację w innych ośrodkach i stowarzyszeniach. Niestety, zabiegów refundowanych przez NFZ jest zdecydowanie za mało, a te prywatne są drogie.

Znaleźli swoje miejsce

Gdy Pawełek miał sześć lat został podopiecznym Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”. Na początku odbywali rehabilitację w pierwszym ośrodku Fundacji – AMICUS.

– Trafiliśmy tam na ćwiczenia do pana Tomka Raźnego, a także do super neurologopedki pani Ani Woźniak, z którą ćwiczymy do tej pory – cieszy się pani Małgorzata. – Jej jedynej udało się dotrzeć do Pawelka i sprawić, że zaczął wymawiać pełne słowa. Teraz pozostajemy pod opieką nowo powstałego Ośrodka Rehabilitacji BIOMICUS i jej wspaniałych rehabilitantów. Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą” udostępniła nam także subkonto, na które zbieramy 1%. Dzięki tym funduszom stać nas na rehabilitację synka.

W maju 2012 roku i lipcu 2013 Pawełek został poddany zabiegom fibrotomii selektywnej. Stawia całe stopy, przed zabiegami chodził na czubkach palców. Poprawiła się też jego mowa, jest w stanie powiedzieć znacznie więcej i wyraźniej.

Pawełek, mimo swej niepełnosprawności, jest pogodnym i bardzo kontaktowym, dzieckiem.

Nawet obce osoby reagują na jego czarujący uśmiech.

Z braciszkiem

W 2006 roku państwo Maciochowie postanowili adoptować kolejne dziecko. Niemały wpływ na ich decyzję miał Pawełek, który prosił o braciszka. Wkrótce w ich domu pojawił się dwuletni Dawidek. Chłopiec jest zdrowy, choć długo przechodził poważną traumę. Nie wiadomo, co go spotkało w dotychczasowym, króciutkim życiu, ale bardzo obawiał się porzucenia.

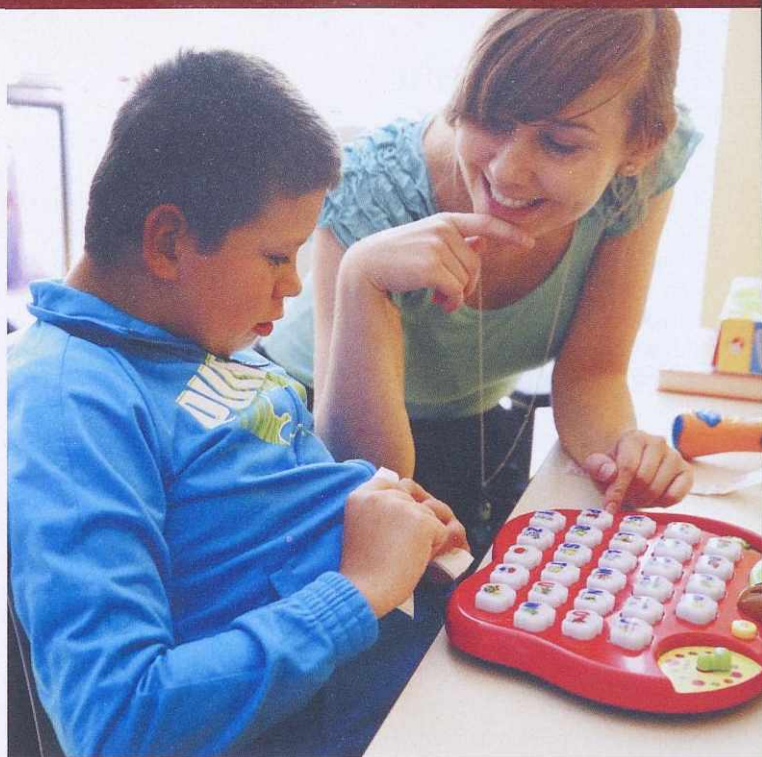
– Nawet po dwóch, trzech latach, kiedy jechaliśmy gdzieś wspólnie z Pawelkiem, Dawidek potrafił zapytać ze strachem: „Mamo, nie zostawisz mnie tam?”. A nam się wydaje, że takie małe dziecko niewiele rozumie i pamięta – relacjonuje pani Małgorzata.

Teraz Dawidek jest towarzyskim chłopcem, pełnym energii. Trzeci rok trenuje piłkę nożną w Gminnym Klubie Sportowym Kraska Jasieniec. Świetnie dogaduje się ze starszym bratem.

Żeby choć parę kroków

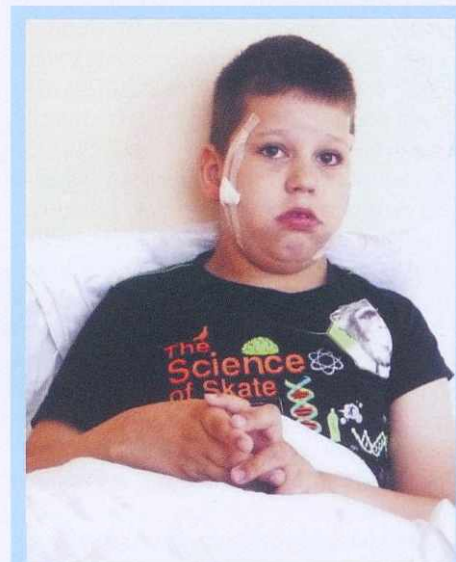
– Jesteśmy osobami bardzo oddanymi rodzinie, wszystkie swoje wysiłki kierujemy, aby zapewnić dzieciom poczucie miłości, zrozumienia, bezpieczeństwa i stabilności – mówią państwo Maciochowie. – Chcieliśmy mieć zdrowe dzieci, ale, niestety, los postawił nam na drodze niepełnosprawność Pawelka. Kochamy go takiego, jakim jest i, mimo wszystko, nie zamienilibyśmy go na żadne inne dziecko. Cieszymy się z każdego jego nowego słowa, z każdego małego kroczku. Cieszymy się z każdej rzeczy, z której rodzice zdrowych dzieci nawet nie zdają sobie sprawy.

– Jest dla nas dużym sukcesem, że Pawełek komunikuje swe potrzeby fizjologiczne, i przestał korzystać z pieluch, kiedy miał trzy lata – dodają. – Niestety, do toalety trzeba go prowadzić, nie jest w stanie samodzielnie chodzić. Naszym marzeniem jest, aby prze-



szedł po domu choć parę kroków, aby mógł samodzielnie podejść do komputera czy dojść do łazienki. Wierzymy, że z czasem to nastąpi!

MARTA GÓRSKA



Można wspomóc terapię Pawelka dokonując wpłaty na konto:

Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”
01-685 Warszawa, ul. Łomiańska 5
Bank BPH S.A. 61 1060 0076 0000 3310 0018 2660

Tytułem: 7466 – Maciocha Pawełek –
darowizna na pomoc i ochronę zdrowia

Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”

- niesie pomoc ponad 24 tysiącom chorych i niepełnosprawnych dzieci z całego kraju, głównie z porażeniem mózgowym, dystrofią mięśniową, chorobami nowotworami, autyzmem, zespołem Downa, wadami serca
 - prowadzi rehabilitację medyczną w ośrodku AMICUS, BIOMICUS i CEMICUS, z której codziennie korzysta 220 dzieci
 - zapewnia bezpłatny pobyt dzieciom i ich opiekunom w ośrodkach pielęgnacyjno-opiekuńczych w Warszawie
 - refunduje koszty leczenia, rehabilitacji, zakupu sprzętu medycznego i leków bez pobierania prowizji
 - organizuje bezpłatne szkolenia dla rodziców z zakresu wspomagania rozwoju dzieci, spraw socjalno-prawnych, grup wsparcia
- Aby stać się podopiecznym Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą” należy złożyć wymagane przez Fundację dokumenty m. in. zaświadczenie o chorobie lub niepełnosprawności. Więcej informacji na stronie www.dzieciom.pl w zakładce „potrzebuję pomocy”.



Z życia Oddziału

IX Posiedzenie Zarządu – z udziałem członków pozostałych władz statutowych Oddziału miało miejsce 26 czerwca „U Artystów” przy ul. Kołłątaja.

W związku z przypadającą w bieżącym miesiącu 25. rocznicą wyborów z 1989 roku na wniosek prezesa Warmińsko-Mazurskiego Oddziału SDP jednogłośnie podjęto uchwałę o rekomendacji panów: senatora Erwina Kruka i posła Zenona Złakowskiego Zarządowi Głównemu SDP celem nadania im Członkostwa Honorowego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Panowie Erwin Kruk i Zenon Złakowski – w latach 80. członkowie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich – w wyniku pamiętnych czerwcowych wyborów '89 otrzymali mandaty parlamentarne. Erwin Kruk wraz z prof. Antonim Jutrzenką-Trzebiatowskim weszli do Senatu RP I kadencji, Zenon Złakowski wraz z Grażyną Langowską i Józefem Lubienieckim do Sejmu X kadencji. „To zaangażowanie dla dobra Polski oraz cała działalność twórcza, zarówno literacka, jak i dziennikarska, jest istotną przesłanką do uhonorowania obydwu Panów tym zaszczytnym tytułem dziennikarskiego Stowarzyszenia” – czytamy we wniosku. Godność Członka Honorowego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich – zgodnie ze Statutem SDP – może nadać Zjazd Delegatów na wniosek Zarządu Głównego Stowarzyszenia (§ 15).

Zarząd, po zapoznaniu się ze sprawozdaniem redaktora naczelnego dot. działalności redakcji miesięcznika „Bez Wierszówki”, podjął ostateczną decyzję o zmianie miejsca druku miesięcznika Oddziału począwszy od nr 6-8/2014. Decyzja ta podyktowana została czynionymi naciskami przez właściciela dotychczasowej drukarni co do zawartości merytorycznej miesięcznika. Równocześnie redaktor naczelny kolejny raz zaprosił dziennikarzy do publikacji na łamach czasopiisma Oddziału.

Uczestnicy posiedzenia zapoznali się z odpowiedzią starosty lidzbarskiego pana Jana Harhaja na list wystosowany przez Zarząd odnośnie odtajnienia procesu przeciwko red. Andrzejowi Pieślakowi w 2 instancji. W piśmie tym Starosta stwierdza:

„W związku z pismem Pana Prezesa dotyczącym postępowania sądowego w sprawie z oskarżenia prywatnego przeciwko Panu Andrzejowi Pieślak – redaktorowi naczelnemu i dziennikarzowi portalu www.naszlidzbark.pl, wyjaśniam, iż zgodnie z art. 359 pkt 2 kodeksu postępowania karnego rozprawa przed sądem karnym, która dotyczy pomówienia lub znieważenia jest z mocy prawa niejawną i jako

oskarżyciel publiczny nie muszę występować o wyłączenie jej jawności.

Jednocześnie podkreślam, iż Pan Andrzej Pieślak jeszcze przed wyznaczeniem terminu rozprawy przed Sądem Rejonowym w Lidzbarku Warmińskim zamieścił na stronie internetowej www.naszlidzbark.pl prywatny akt oskarżenia (artykuł pt.: „Starosta skarży redaktora NaszLidzbark do sądu” z dnia 27 sierpnia 2013 r.). Zatem uznać należy, iż zarzuty sformułowane w akcie oskarżenia wraz z ich uzasadnieniem są znane opinii publicznej, a Pan Andrzej Pieślak został nieprawomocnie uznany winnym zarzucanych mu czynów i ukarany przez Sąd I instancji, o czym również w swojej publikacji na stronie Nasz Lidzbark informował czytelników.

mgr Jan Harhaj – Starosta

Lidzbark Warmiński, 11 VI 2014 r.”.

W dalszej części obrad omówiono kwestie związane z projektem: „Wakacyjne Dni SDP na Warmii, Mazurach i Powiślu”. Przyjęto szczegółowy plan otwartego spotkania członków Oddziału w dniach 4-5 lipca, w którym wezmą udział zaproszeni goście. Zarząd pozostawił otwartą sprawą drugie ze spotkań wakacyjnych – w Dolinie Walszy, propozycję którego złożył Grzegorz Radzicki, członek Zarządu ds. promocji. Wyjazd taki uzależniony został od ilości chętnych.

Ponadto członkowie Zarządu i władz statutowych zapoznali się aktualnym stanem rozmów prowadzonych z dyrekcją Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie odnośnie ściślej współpracy i zmiany adresu Oddziału.

Obecnie Warmińsko-Mazurski Oddział SDP liczy 52 członków zwyczajnych oraz trzech kandydatów (dr Piotr Kardela, Paweł Staszak i Paweł P. Warot).

Wakacyjne spotkanie dziennikarzy – Nawiązując do tradycji, jaka zrodziła się za kadencji prezesa Joanny Wańkowskiej-Sobiesiak, Zarząd Warmińsko-Mazurskiego Oddziału SDP na progu wakacji zorganizował otwarte spotkanie dziennikarzy w ramach nowego projektu: „Wakacyjne Dni SDP...”. W odróżnieniu od poprzednich imprez tego rodzaju, tegoroczne spotkanie przebiegało dwa dni (4 i 5 lipca) i oprócz członków Oddziału olsztyńskiego uczestniczyli w nim także przedstawiciele Zarządu Głównego SDP oraz goście spoza Stowarzyszenia, m. in. członkowie Kapituły Nagrody im. Seweryna Pieniężnego.

Zarząd Główny reprezentowali red. Stefan Truszczyński – sekretarz generalny SDP, red. Zbigniew Rytel i red. Andrzej Stawiarski – członkowie Zarządu. Z Warszawy dotarł również gość specjalny, artysta rzeźbiarz – Andrzej Renes, któremu nasz region jest niezwykle

bliski w związku z pracownią artysty znajdującą się w Nowych Gutach nad Śniardwami. Kapitułę Nagrody im. Seweryna Pieniężnego reprezentowali: prof. Krystyna Stasiewicz (UWM Olsztyn), red. Wojciech Reszczyński (WSKSiM, SDP) oraz członkowie Oddziału wchodzący w skład Kapituły. Nie zabrakło także księgowej Oddziału – Krystyny Trybulskiej.

Dwudniowe spotkanie mające być okazją do rozmów i bliższego poznania, zainaugurowano w **piątek (4 lipca)** o godz. 14 obiadem w restauracji Hotelu Warmińskiego, w którym uczestniczyli goście i członkowie Zarządu Oddziału oraz sędzia Sądu Dziennikarskiego. Następnie goście spoza Olsztyna mieli niepowtarzalną okazję poznania różnych zakątków miasta oraz wybranych okolic podolsztyńskich, po których ze swadą oprowadzał wiceprezes Andrzej Dramiński.

O godzinie 17 w przepięknym otoczeniu przyrody nad Jeziorem Ukiel, na terenie przynależącym do olsztyńskiego Hotelu „Kur”, którego restauracja serwowała specjalny na połowy dziennikarski stół, dziennikarze SDP i ich goście zgromadzili się wokół ogniska. Oprócz radosnych pogawędek, nie zabrakło też smutnej nowiny... szeroko komentowanej wieści o fakcie zwolnienia kolegi o piórze – Pawła P. Warota z funkcji pracownika naukowego olsztyńskiej Delegatury IPN.

W drugim dniu spotkania – **sobota (5 lipca)** – wyruszono do podolsztyńskiej gminy Purda, do Butryn i Bałd, gdzie odbył się „VII Warmiński Kiermas Tradycji, Dialogu, Zabawy”. Równo w południe w świątyni butryńskiej dziennikarze uczestniczyli w liturgii sprawowanej przez abp. Celestiono Migliore – nuncjusza apostolskiego w Polsce, a następnie w uroczystościach na Trakcie Biskupów w Bałdach, gdzie odsłonięto kolejne gazy upamiętniające biskupów warmińskich.

Nadmienić warto, iż Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich w bieżącym roku było partnerem organizatora tegorocznych uroczystości na Trakcie Biskupim w Bałdach, a miesięcznik społeczno-kulturalny „Bez Wierszówki” – szeroko informujący o Trakcie, jak i warmińskim Kiermasie – patronem medialnym tego wydarzenia.

Końcowym akcentem dwudniowego spotkania pozostała **wizyta u poety z Butryn** – ks. kanonika Jana Pietrzyka, który nie tylko obdarował gości swoim ostatnim tomikiem poezji *Przed świtem*, ale barwnie opowiadał o przeszłości ziem, które dziś określamy mianem Warmii i Mazur. Gospodarz pochwalił się także inną swoją pasją... zbiorem młynków, których kolekcja liczy obecnie około trzystu eksponatów.

PREZES ODDZIAŁU

bezwierszówki MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Redaktor naczelny: Ireneusz St. Bruski, tel. 531 507 527, e-mail: bezwierszowki@wp.pl • **Kolegium redakcyjne:** Andrzej Zb. Brzozowski, Tamara Jesionowska, Jerzy Pantak, Bożenna Ulewicz, Grzegorz W. Wadowski, Joanna Wańkowska-Sobiesiak, Aleksander Wołos • **Stała współpraca:** Andrzej Dramiński, Elżbieta Mierzyńska, Marek Palczewski, Jan Roślan, Adam J. Socha, Marek Sokołowski, Błażej Torański, Stefan Truszczyński • **DTP:** Marcelina Gorzka • **Adres redakcji** (do korespondencji): 11-041 Olsztyn, ul. Stanisława Kardynała Hozjusza 12/3 • **Nakład:** 1800 egzemplarzy • **Druk:** Przedsiębiorstwo Poligraficzne Hakus, Maria i Andrzej Kuśmierczyk sp. j., 11-041 Olsztyn, ul. Hozjusza 11, tel. 89 523 92 40, www.hakus.pl

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY POLSKICH DOM PRACY TWÓRCZEJ

Położony na Górze Małachowskiego, w sąsiedztwie domu Marii i Jerzego Kuncewiczów, otoczony 3,5 ha parkiem, stanowiącym część Kazimierskiego Parku Krajobrazowego.

Oferujemy:

- 130 miejsc noclegowych w pokojach 2- i 3-osobowych z łazienkami oraz w apartamentach 2-pokojowych
- Sale konferencyjne dla 300 osób z nowoczesnym sprzętem audiowizualnym (sala duża z klimatyzacją)
- Restauracja • Kawiarnia • Grill • Parking



Zapraszamy:
uczestników kongresów,
szkoleń, konferencji
i gości indywidualnych.

24-120 Kazimierz Dolny
ul. Małachowskiego 17
recepcja: tel. 81 881 01 62
fax 81 881 01 65
www.domdziennikarza.com
info@domdziennikarza.com



*Ceny usług do negocjacji.
Stali Klienci otrzymują rabaty.*



W obiektywie Andrzeja Stawiarskiego

Warmiński Kiermas Tradycji, Dialogu, Zabawy

Butryny – Bałdy, 5 lipca 2014



Uroczystości rozpoczęła Msza św. w kościele parafialnym w Butrynach, której przewodniczył abp Celestino Migliore, nuncjusz apostolski w Polsce. FOT. © ANDRZEJ STAWIARSKI



Przejście uczestników od Wrót Warmii Traktem Biskupim do nowo odstanianych głązów; z abp. Celestino Migliore idą prof. Ryszard Górecki – rektor UWM i ks. inf. Jan J. Górny – fundator głązu Eneasza S. Piccoliminiego; w drugim rzędzie od lewej: ks. kan. Jan Pietrzyk – proboszcz parafii Butryny, Mirosław Pampuch – starosta olsztyński, Halina Zaborowska-Boruch – wiceprezydent Olsztyna, Jerzy Laskowski – wójt Gminy Purda. FOT. © ANDRZEJ STAWIARSKI

Fundatorka Urszula Befza opowiada o bp. Teodorze Potockim...

FOT. © WB, OLSZTYN24.PL



Odstąpienie głązu bp Henryka Fleminga; obok głązu przedstawiciel fundatorów – Manfred Ruhna i ks. kan. André Schmeier – duszpasterz katolików niemieckojęzycznych w archidiecezji warmińskiej

FOT. © ANDRZEJ STAWIARSKI



Prof. Krystyna Stasiwicz – członek Kapituły Nagrody im. Seweryna Pieniężnego ze Stefanem Truszczyńskim – sekretarzem generalnym SDP i ks. Ireneuszem St. Bruskim – prezesem Oddziału SDP w Olsztynie

FOT. © ANDRZEJ STAWIARSKI



Inscenizacja powitania bp. Teodora Potockiego; wystąpili aktorzy Teatru Jaracza Marian Czarkowski, Jarosław Borodziuk i Marcin Kizluk. FOT. © ANDRZEJ STAWIARSKI

Imprezę dopełniły prezentacje tradycyjnych rzemiosł i sztuki ludowej, kiermasz produktów lokalnych, były też pogadanki w gwarze warmińskiej, konkursy dla dzieci i dorosłych oraz występy kapeli ludowych i zespołów muzycznych, m.in. Kapeli ze Wsi Warszawa.